DWANAŚCIORO

CUDOWNYCH DZIECI.

ZBIÓR DWÓNASTU ŻYCIORYSÓW

dla użytku młodzieży i jéj kształcicieli.

przez

Dra T. Tripplina.

WILNO.

Drukiem Józefa Zawadzkiego.

1859.

CUDOWNE DZIECI.

DWANAŚCIORO
CUDOWNYCH DZIECI.

Jakie dzieci, tacy ludzie; a takie dzieci, jak je matki wychowują.

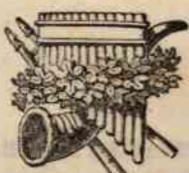
Zdanie Fenelona.

ZBIÓR DWÓNASTU ŻYCIORYSÓW

dla użytku młodzieży i jéj kształcicieli.

PRZEZ

Dra T. Tripplina.



WILNO.
DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.
1859.

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno, 18 Września 1858 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

PRZEDMOWA.

Do Matek Polskich.

Z boleścią spoglądając na wychowanie naszych nowych pokoleń, od dawna powziąłem zamiar przysłużyć się moim ziomkom dziełem, któreby będąc pod ręką każdéj matki, wpoić mogło w młode serca chęć do nauk i zamiłowanie do pracy, nie sposobem przykrym, przymusowym, pedantskim, który więcéj dzieci odraża jak skłania, ale sposobem łatwym przyjemnym a jednak działającym jak słodkie lekarstwo podawane dobroczynną i biegłą ręką. Coż może łatwiéj wpły-

nąć na przekonanie dzieci jak przykład, że inne dzieci ucząc się pilnie, dostępowały bardzo wysokiego rozwoju umysłowego w nader wczesnym już wieku i tak wielkiéj dostąpiły sławy, że ich nazwisko przeszło do nas i godnem jest przejść do najpoźniejszéj potomności. W tym celu skreśliłem kilka rysów biograficznych, zdolnych wpłynąć na wyobraźnią i czucie naszych dzieci i wzbudzić w ich sercach najszlachetniejsze dążności emulacyi, chęć znaczenia czegoś przez własną usilność i przez własny popęd. Życiorysy te, obrazując cnotę przykładami, poruszając głęboko uczuciową stronę, mogą przeważnie działać na rozwinięcie umysłu i udzielenie charakterowi tego hartu, na którym prawie bezwyjątkowie zbywa całéj naszéj młodzieży, już w całéj Europie znanéj z niestałości uczuć i sposobu myślenia. Niestety! u nas tylko tacy się uczą, tacy się kształcą, którzy nauką i ukształceniem chléb zdobywać muszą, a synowie magnatów i pieniężnych ludzi,

nie siląc się na kształcenie umysłu, zdobywają późniéj gusta materyalne, zwierzęce uczucia nie dozwalające umysłowi wznieść się wysoko, poniżające ducha, a wcześnie doprowadzające ciało i życie do upadkú.

I jakże być może inaczéj, kiedy przecież wiemy jakim sposobem przyjmuje wychowanie syn choćby najmajętniejszego szlachcica? Guwernantka przyjęta do starszéj córki jest zarazem jego mentorką; chłopiec niesforny dokucza i siostrze i guwernantce, a jednakże przyzwyczaja się siedzieć po kilka godzin przy stole, i powoli traci w żeńskiém towarzystwie cały charakter wesołości, dowcipu, życia i dziarskości, który powinien znamionować chłopaka; — traci chęć do nauk i dostaje zupełnego do nich obrzydzenia! Pamięć jego jest ćwiczona bajkami, które zawsze są jakąś przenośnią, a które nie zawsze i światła guwernantka potrafi wytłómaczyć, często zaś już dzisiaj napotykamy roje bajek,

w których przy największéj uwadze, niepodobna znaleźć cóśkolwiek coby mogło służyć za pożywną strawę.

Nie mówi się tu, aby Fedr, Lafontaine, Niemcewicz, Krasicki lub Jachowicz, zostali wywołani, ale powiedziałbym, żeby ich twory wtenczas dopiéro czytane były przez dzieci, kiedy umysł jest już do tego stopnia otwarty, iż każda allegorya jest dla nich jasna, zrozumiała i przynosząca pożytek rzeczywisty.

Jednakże sądzimy, że żaden z wielkich bajkopisarzy nigdy nie uważał dzieci za główny przedmiót swych dążności umysłowych; zresztą na co zaćmiewać umysł niedojrzały cieniami przenośni tam, gdzie w całéj okazałości można wystawić prawdę? Wszakże każda cnota miała swych godnych przedstawicieli na ziemi; przykłady te jako historyczne wdrażają się w pamięć i w serca dzieci, zapełniają godziny jego rozmyślań, kołatają w serca i pobudzają do naśladownictwa; a samo przekonanie, że czyn czytany nie jest u-

rojeniem lecz istotną prawdą, stanie się wielką dźwignią umysłową.

Piérwiastkowe rozwinięcie władz dziecięcia staje się późniejszym jego losem, ono wyrabia jego charakter, *a charakter człowieka jest jego jedyném prawdziwém bogactwem.*

Nauka która nie sięgnęła serca, jest tylko jak owa imitacya złota, ozdobną ramą okrywająca podłe malowidło. Ukształćmy naprzód serce dziecięcia, pewną ręką rzućmy kontur jego charakteru, a wskazaliśmy mu już drogę życia, która go zawsze powiedzie do szczęścia godnego ideału istoty ludzkiéj.

A ponieważ tu nie tworzę, tylko grzebiąc w historyi świata, lub we własnych moich bogatych wspomnieniach, wynajduję przykłady godne uwiecznienia; jeśli więc charakter którego z moich bohaterów, nie wszystkim odpowie żądaniom, niech to będzie winą zimnéj, nieubłaganéj rzeczywistości, od któréj nie odstąpiłem w tém dziele ani na włos.

Nie wszyscy z moich młodych bohaterów dostąpili późnego wieku i szczęścia, lecz i ci co wcześnie umarli, a pamiątkę po sobie zostawili długą, niechże i ci służą za przykład synom i córkom Polski; niech podług nich kształcą się późniejsi obywatele i późniejsze matki w Polsce, bo zawsze jeszcze lepsze życie krótkie i chwalebne, niżeli długie, nędznie, gnuśnie spędzone.

Niechże więc ta moja praca, znów na ziemi obcéj, na którą się dobrowolnie wygnałem, dokonana, będzie jak grosz wdowi przyjęta z tak dobrem sercem, z jak dobremi chęciami wam jest przesłaną z daleka, niech choć jeden męzki umysł wyrobi i choć jedną ukształci kobietę, godną sercem sławy piękności córek Polski.

Odessa, dnia 12 Czerwca 1857,

Teodor Tryplin. Dr Med.

SPIS ŻYCIORYSÓW

zawartych w téj książce.

Część piérwsza.

Część druga.

CZĘŚĆ PIÉRWSZA.

OBCY.

I.

LUCYUSZ-WALERYUSZ.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

OBCY.

I.

Lucyusz-Waleryusz, nazwany Pudens, czyli Skromny.

Dziecię, którego tu życie opisać zamierzam, byłoby na zawsze zagrzebane w niewiadomości, gdyby nie napis na nagrobku, odkryty w końcu ostatniego wieku przez p. Lamoignon, syna prezydenta sądownictwa. Z pomniku tego dowiadujemy się o wielu szczegółach z życia tego dziecięcia, i te dostateczne są do uwiecznienia jego pamięci w najpóźniejsze wieki.

Lucyusz-Waleryusz urodził się r. 112 od na-

rodzenia Chrystusa, w mieście Hisconium, pod panowaniem cesarza Trajana; miasto to teraz nazywa się Guasto, w prowincyi Abruzzo, nad brzegiem Adryatyckiego morza. Nazwisko i stan rodziców jego są nieznane. O troskliwém jednak ich wychowaniu, przez wykształcenie syna sądzić można. Lucyusz miał dopiero lat trzynaście, kiedy w liczbie ubiegających się o nagrodę w wierszopistwie stawić się ośmielił. Nagroda ta złożona z medalu złotego i liry z kości słoniowéj, udzielana była co lat pięć autorowi, którego wiersze za najlepsze uznane zostały; dzień wyznaczony do udzielenia jéj, był dniem ogólnego zebrania do Rzymu, na *Lustracyą* czyli popis ludu.

Waleryusz talentem swoim i pracą, nie tylko odniosł zwycięztwo nad wielu starszymi od siebie współzawodnikami, lecz nadzwyczajne honory które mu oddawano, nowego blasku do jego chwały dodały.

Płody jego przez bardzo długi czas zajmowały publiczność, a zawsze czytane były z największém uniesieniem.

Wielka szkoda, że tytułu nawet Waleryusza-

Lucyusza poematów nie znamy. Musiały być jednak bez wątpienia interessujące i piękne w sobie zawierać myśli, gdy tak powszechne wywołały pochwały. Wiele najznakomitszych osób, tak swoim stopniem jak powagą, umyśliło złożyć hołd pokazującemu się talentowi, i zamierzyli wystawić mu spiżowy posąg w dowód swojego poważania. Zamysł ten jednomyślnie został przyjęty, i wielkie składki w krótkim czasie złożono na dopełnienie tego szlachetnego przedsięwzięcia; sprowadzono najlepszych rzeźbiarzy z Rzymu, a ci ciągle nad wykonaniem nowego pomnika pracować nie przestali, który jak tylko dokończono, na najgłówniejszym placu miasta Hisconium umieszczony publicznie został.

Rozgłos ten najpiękniejsze miał cele. Było to wezwanie młodzieży Rzymskiéj, ażeby na tym znajdowała się obchodzie, i aby na widok tak szczególniéj wynagrodzonego talentu do współubiegania się zachęcaną była.

Tryumf tego dziecięcia, znalazł odgłos w sercach całéj młodzieży Rzymskiéj. Dawszy najświetniejszy dowód rozumu, niemniéj chwalebnéj dobroci serca swego dał dowody.

Powodzenie szczęśliwe, które nader często rozbudza miłość własną człowieka, nie tylko najmniejszéj nie tchnęło w jego szlachetne serce dumy, lecz przeciwnie niejako go zmartwiło:— miał on lękliwość właściwą prawdziwéj wartości i w pośród powszechnych, zewsząd dawanych mu pochwał i poklasków, upokorzonym się być zdawał. Wypadek jeden dość rzadki, o skromności i szlachetności małego Lucyusza nájdokładniéj wszystkich przekonał.

Właśnie w chwili gdy najpiérwszy miasta Hisconium urzędnik, wieńcem z wawrzynu ozdabiał głowę posągu młodego poety, Lucyusz dostrzegł stojącego w oddali jednego ze swoich kolegów, smutno opartego o kolumnę; był to jego rywal współubiegający się o nagrodę, i któremu parę tylko brakowało kresek do jéj otrzymania.

Żywo dotknięty Waleryusz tym stanem swojego przeciwnika, którego postawa okazywała ile było smutku i zmartwienia w jego sercu, bierze natychmiast wieniec i kładąc go na głowę swego przeciwnika i serdecznie go ściskając, rzecze: «Więcéj go zapewne nademnie godnym

jesteś; jeżeli go otrzymałem, to zapewne przez wzgląd na wiek mój, który zachęcić chciano.»

Ta szlachetna scena niezmierny tłok ludu zgromadziła około Lucyusza-Waleryusza i jego przeciwnika, który był od niego dwa razy starszy.— Wieść o tym szlachetnym postępku lotem błyskawicy rozeszła się wszędzie, każdy ją z uniesieniem opowiadał; a szczegóły jéj z ust do ust po wszystkich prowincyach cesarstwa się rozchodziły. Od dnia tego wahano się czy talent Waleryusza Pudensa, to jest dziecięcia skromnego, czyli szlachetny jego czyn i dobroć serca bardziéj chwalić miano.

jesteś; jeżeli go otrzymałem, to zapewne przez wzgląd na wiek mój, który zaślepić chciano.

Ta szlachetna scena niezmierny tłok ludzi zgromadziła około Czcydusza-*Waleryusza* i jego przeciwnika, który był od niego dwa razy starszy. — Wieść o tym szlachetnym postępku lotem błyskawicy rozeszła się wszędzie, każdy ją z uniesieniem opowiadał, a szczegóły jéj z ust do ust po wszystkich prowincyach cesarstwa się rozchodziły. Od dnia tego wahano się, czy talent Waleryusza Pudensa, to jest dziecięcia skromnego, czyli szlachetny jego czyn i dobroć serca, bardziéj chwalić miano.

II.

MARCELLA-EUFROZYNA.

II.

Marcella-Eufrozyna.

Urodziła się w Rzymie r. 116 po Chrystusie.

Marcella-Eufrozyna była córką jedyną Apolodora, jednego z najsławniejszych budowniczych owego czasu, w których tak obfity był wiek Trajana. Natura hojnie zlała dary na młodą Rzymiankę, któréj życie opisać tutaj zamyślam.

W dwunastu latach tak postawa jéj jak i ukształcenie umysłowe były jakby u dziewicy 18-letniéj.— Długie prześliczne złotawego koloru włosy, w pierścienie po szyi i ramionach toczące się, oczy wielkie błękitne, pełne słodyczy i ognia, czarująca wdziękiem postawa, pełna wspaniałości i nadobności, a czarująca gracyą; jednem słowem,

wszystkie jéj przymioty składały najdoskonalszą całość.

Nieraz malarze i snycerze, czatowali na chwilę, w któréjby mogli obaczyć cudną tę dziewicę; a pod różnemi pozorami wchodząc w te towarzystwa, w których się ona znajdowała, usiłowali uchwycić w pamięci rysy, które w takiéj harmonii skojarzone, rzadko można widzić w jednéj osobie.

Nieraz najusilniéj prosili matki o pozwolenie malowania portretów, lub wymodelowania dłótem biustu tego zachwycającego obrazu, w celu ozdobienia nim ołtarzy i świątyń wznoszonych pierwszym Olimpu boginiom.

Lecz na cóż się mamy tak rozszerzać nad przymiotami, które tylko ślepego losu są darem? Dla czego uwielbiać piękność, którą najmniejsza choroba w jednym momencie zniszczyć może? Nierzadko zdarza się, że te znikome, a tak zazdroszczone powaby, ceną tysiąca przykrości i zmartwień przez posiadających są okupione. Już to tysiące razy powiedziano, jednak powtarzać tego nieprzestaniemy, gdyż przymioty serca nieskończenie są szacowniejsze.

Z téj właśnie strony Marcella, nieskończenie wyższą była; taką bowiem w obcowaniu miała słodycz i łagodność charakteru, taką żywość umysłu, wesołość i przyjemność humoru, grzeczność i znalezienie się, że powszechnie, najwięcéj nawet wymagającym osobom podobać się potrafiła. Gdyby więc nawet nie była obdarzoną tą pięknością przez hojną naturę; to jéj szlachetne przymioty serca czyniłyby ją najmilszą z towarzyszek.

W dziesiątym roku życia, Marcella tak gładko po grecku jak i po łacinie czytała i pisała, najlepsze kawałki z Homera, Wirgiliusza, Biona i Owidiusza, z takim czuciem deklamowała, że wprawiała w zachwycenie słuchających.

Z najlepszych mówców i najsławniejszych historyków wypisy robiła; zawsze w wyrazach dobranych i najwłaściwszych tłómaczyła się, a w brzmieniu jéj głosu taka była słodycz i harmonia, że najpospolitsze rzeczy nabierały pewnéj ważności.

Nie dość jest tłómaczyć się jasno, trzeba umieć myśli swoje malować najwłaściwszemi cie-

niami, trzeba im nadać siłę i ubarwić pięknemi kolory.

Córka Apolodora posiadała właśnie ten rzadki, osobliwie u naszych kobiet przymiot, których wychowanie kończy się pospolicie na szczebiotaniu po francuzku i brząkaniu na fortepianie.

Marcella przyuczona rozważać, analizować to co ma pisać, przez ciągłe cwiczenia i pracę, styl swój pięknem życiem krasiła, nadając mu nowy wdzięk przez zwięzłość, a mianowicie przez czytanie najsławniejszych pisarzy. A ponieważ dokładnie historyę, jeografię i mitologię znała, więcéj też powagi pismom swoim nadać umiała, które lubo jeszcze młodocianne, niemniéj jednak ciekawe i nauczające były, a przez przypisy i uwagi właściwie przystosowane, stały się użyteczne, i nie jednemu doświadczonemu wyrównywały pióru.

O ileż nauka przyśpiesza rozwijanie się rozumu, uprzedza lata, poprawia obyczaje, i młodzież, która chce z niéj korzystać, zdolną czyni!

Najmniejsza fraszka wymówiona lub napisana przez Marcellę, z przyjemnością słuchaną i czytaną była: dowcip jéj bowiem nowego dodawał

wdzięku; rozkoszą była i ozdobą towarzystw, do których uczęszczała. Lecz nauka Marcelli nie na literaturze tylko ograniczała się; kształciła się ona jeszcze w malarstwie i architekturze, do któréj szczególniejszą okazywała zdatność; i smiało można powiedzieć, że w téj sztuce z ojcem, od którego wzięła piérwsze początki, walczyć mogła. On nawet w najtrudniejszych planach zasięgał jéj rady.

Lecz cóż za szkoda, że przy tak wielkiéj nauce, piękności i talentach, młoda ta dziewica smutną jednę posiadała wadę, a która cień rzucała na jéj piękne przymioty. Wadą tą była skłonność do przedrwiwania i szydzenia, i prawie nigdy nie opuszczała sposobności ukłucia żarcikiem, chociażby nawet cokolwiek ubliżającym. A lubo była z przyrody dobrą i szlachetną, daleką od tego ażeby komu szkodzić lub jaką przykrość sprawić, często jednakże przez płochość, chęć zabawienia się i rozśmieszenia przytomnych, szydercze a nawet złośliwe rzucała żarciki. Jeden z najsławniejszych pisarzy starożytności mówi: docinek i żarcik, nieraz drogo przychodzi nam opłacić.

Ucinek także Marcelli zgubił ją i jéj ojca Appolodora.

Sławny ten budowniczy, miał nieszczęście rozgniewać na siebie Adryana, wprzódy, niżeli ten na tron cesarski wstąpił. Powód do tego był następujący: Trajan cesarz ówczesny, kazał podług planu Appolodora budować ogromny most na Dunaju, o którym nawet, w historyi jego życia jest wzmianka. Adryan, który uchodzić chciał za biegłego we wszystkich sztukach, wspaniały ten pomnik najokropniéj skrytykował i potém jak tylko został cesarzem, przez niegodną zazdrość obalić kazał. Im zaś krytyka jego była niesprawiedliwszą, z tém większym popierał ją uporem. Rozgniewany niesprawiedliwą i stronną naganą, Appolodor nie mógł się wstrzymać od okazania cesarzowi, jak jego zdanie lekce ważył.

Adryan, który równie chciał uchodzić za biegłego malarza, jak za architekta, poświęcał dnie całe na malowanie arbuzów, melonów, ogórków i t. p.

—«Idź książe»— rzekł mu dnia pewnego Appolodor z szyderczym uśmiechem, «idź malować

swoje dynie i ogórki, to zaś czém się my trudnimy, zupełnie nieprzystoi tobie».

Urażony tym, jakkolwiek słusznym, jednakże za nadto śmiałym przycinkiem, Adryan, póty swobodnie nie odetchnął, do póki nie potrafił skazać Appolodora na wygnanie z Rzymu.

W kilka lat po tym wypadku Adryan cesarzem został. Trzeba mu oddać sprawiedliwość że bardzo wielu pięknemi gmachami ozdobił stolicę świata, a pomiędzy innemi, kazał postawić jak najwspanialszą swiątynię Wenerze. Gdy gmach ten ukończony został, Adryan szukał wszelkich sposobów upokorzenia wygnanego artysty, chociaż przeciwnie powinien był podziwiać jego szlachetną smiałość i czcić jego talenta. Chcąc mu tedy dać uczuć, że Rzym zupełnie bez niego obejść się może, posłał mu plan nowéj budowy, który sam w dobréj wierze, ósmym cudem świata nazwał. Uciśniony ciężarem swego nieszczęścia i żadnéj na rysunek nie dając uwagi, Appolodor oddał go swéj córce, mówiąc: «Masz Marcello dzieło naszego malarza ogórków».

Na piérwszy rzut oka, Marcella znaczny błąd spostrzegła, i klaskając w dłonie z radością, rze-

kła do ojca: «Ach uważaj tylko ojcze na tę statuę Wenery w głębi kościoła siedzącą, w proporcyi wysokości kościoła jest ona o trzecią część wyższa, i gdyby przypadkiem» — śmiejąc się dodała «bogini wstać się podobało, nieomylnieby sobie stłukła głowę o sklepienie».

Uwaga ta nader była sprawiedliwą, a błąd ten, lubo tak był widoczny, najbieglejszych znawców oka uniknął.

Apolodor uczuł radość, której pokryć nie był w stanie.

«Ach łatwiéj jest, powtarzał po wiele razy — wymalować dynię, niżeli most na Dunaju postawić.

Nie chciał on bez wątpienia opuścić sposobności wyrzucenia Adryanowi niesprawiedliwości i nieumiejętności jego. Odesłał mu plan przysłany i przyłączył uwagi swoje względem widocznego błędu, przez trzynastoletnie dziecko odkrytego.

Im bardziéj uwagi młodéj Marcelli na prawdzie gruntowały się, tym większym gniewem Adryan został zapalony.— Dla naprawienia zaś popełnionego błędu, zrujnować sklepienie kościoła, i podnieść go wyżéj potrzeba było.

Często niebezpieczną jest rzeczą zranić miłość

własną ludzi.—Podżegany przez żądze zemsty Adryan, wywrzeć się jéj nie opóznił sposobem niegodnym. Pięć ledwo tygodni po tym upłynęło wypadku, gdy pod nieusprawiedliwionym pozorem spisku, sprowadzić kazał do Rzymu i oddał pod sąd, zanadto prawdomównego krytyka, a sędziowie po większéj części mu zaprzedani, bez żadnego dowodu wyrok śmierci wydali. Ten niecny wyrok został wykonany bez zwłoki na *forum*.

Marcella-Eufrozyna uwielbiała swojego ojca, a gdy się o okropnym wyroku dowiedziała, który ją pozbawiał najlepszego przyjaciela, nauczyciela i jedynéj opieki, żalem niepodobnym do wyrażenia, owładniętą została.—Z boleści téj do najstraszniejszéj przeszła rozpaczy: powzięła zamiar utopić sztylet w sercu Adryana.

Młoda ta rzymianka posiadała charakter stały i godny pięknych wieków rzeczypospolitéj; ale nie widząc żadnej sposobności, w którejby mogła zbliżyć się do swego nieprzyjaciela, liczną zawsze otoczonego strażą, wyrzekła się swego niebezpiecznego zamiaru.

Odtąd dla świata nieprzystępna i niepocieszona po poniesionéj stracie, nie myśląc tylko o ojcu i

jego śmierć opłakując, zdawało jéj się, że dłużéj bez niego żyć nie może; smierć więc saméj sobie zadać postanowiła.

Przed uskutecznieniem jednak tego okropnego zamysłu, czułe te i pełne uszanowania dla rodziców dziecię, chciało jeszcze na ziemi pamięć swéj miłości zostawić, i zupełnie podług swojego planu i rysunku, pomnik miłości dziecinnéj wystawiła sciętemu ojcu.

Była to z białego marmuru wzniesiona kopuła, wpośród niéj widać było statuę Apolodora otoczonego wszystkiemi swéj sztuki godłami: bogini nieśmiertelności, koroną głowę jego wieńczyła.

Obok téj figury był grób z porfiru, który otaczały płaczące geniusze; śmierć przelatująca, końcem swéj kosy podnosiła kamień grobu, do którego się Eufrozyna, pomimo usiłowań zapłakanéj matki, rzuca za ojcem.

Gdy pomnik ten już ukończony został, Marcella całe dnie przy nim przesiadywała, oddając się czarnéj rozpaczy; ale czułe starania matki i przyjacioł potrafiły jéj wybić z głowy bezbożną myśl samobójstwa. Ono bowiem jest zawsze grzechem, w jakimkolwiekby było popełnione celu,

a serce szlachetne, wyższe zawsze być powinno nad cierpienia.

Czułość Marcelli-Eufrozyny stała się jednakże przyczyną jéj przedwczesnego zgonu: całe dnie przepędzała przy grobie swego ojca, płacząc i rozpamiętując jego dla niéj czułości i starania rodzicielskie; a wyrzut, że swoim żartem, może choć w części była przyczyną jego śmierci, nie opuszczał ją ani na chwilę, lecz dręczył ją jak okropne widmo. Nareszcie osłabiona ciągłym smutkiem i wycieńczona żalem, widocznie nikła. Nareszcie pewność że wkrótce się połączy z ojcem, napawała ją dawno niedoświadczoną radością.

W parę miesięcy po śmierci Appolodora, mając lat trzynaście i miesięcy pięć, z powszechnym żalem całego Rzymu umarła, nieszczęsnego ojca nieszczęśliwa córka.

III.

HENRYK DE NEMOURS.

III.

Henryk de Nemours.

Urodził się w hrabstwie Armagnac 1472 + 1481.

To co nam podaje historya święta o poświęceniu się siedmiu Machabejczyków zabitych przez Antyocha Epifanesa, zapewne zasługuje na wielką uwagę; lecz to wzniosłe poświęcenie się młodego Henryka de Nemours, cierpiącego dla swego brata młódszego Franciszka, jest o tyle napawającém duszę najszlachetniejszemi uczuciami, że pomimowolnie nasuwa pióro do ręki, do skreślenia życia tego prawdziwie świętego męczennika. Ażeby zaś rzecz ta lepiéj była zrozumiała moim czytelnikom, cofniemy się trochę w przeszłość, i od-

rzuciwszy kilka kart pożółkłych w historyi, natrafimy na następujące szczegóły.

Jakub d'Armagnac, książę de Nemours, konetabl Francyi, wmięszał się w spisek, który brat królewski książę de Gujenne przeciw Ludwikowi XI knował.

Książę de Gujenne wraz z panią de Montsoreau został otruty przez pigwę, od spowiednika swego.

Jakub Armaniak zostawszy naówczas głową spisku, połączywszy się z książętami Bretanii i Burgundyi, wspólnie wezwali Anglików do Francyi. Lecz Ludwik XI uwiadomiony o spisku, przed wybuchnięciem tegoż, potrafił Jakuba Armaniaka aresztować wprzód, niżeli ten mógł pomyśléć o niebezpieczeństwie, i wkrótce potém uciąć mu głowę rozkazał.

Postępek ten nakazywała sama polityka i chęć zapobieżenia na przyszłość spiskom, lecz zemsta Ludwika XI nie poprzestała na tém, i karę słuszną zamieniła w barbarzyństwo; albowiem ludzka natura, zawsze prawie nie umie zachować środka między sprawiedliwością a namiętnością. O ile zaś w tym wypadku Ludwik XI przeszedł granice umiarkowania i sprawiedliwości, trudno

prawie uwierzyć: oto rozkazał, ażeby dwaj synkowie księcia de Nemours, w białe przybrani suknie, stali pod rusztowaniem, na którym ginął spiskowy, i krwią spadającą jego zbroczeni byli.

Okrutny ten monarcha, chciał przez ten czyn pokazać, że krew spadająca z buntowniczego ojca na dzieci, równe wyciska na nich piętno hańby, jak na nim, a przez posunięcie zemsty w niesłychane granice i zaślepione rozumowanie, któróm uznawał dzieci winnemi, nabierał prawa do ich ukarania. I w saméj rzeczy, po skończeniu egzekucyi, okrutny ten człowiek dwóch synów księcia, Henryka lat ośm i Franciszka siedm lat jeszcze niemającego, kazał zaprowadzić do Bastylii. Tylko starożytny Rzym pod straszliwémi potworami Neronem lub Heliogobalem, mógł pokazać równą próbę okrucieństwa; ale żeby monarcha chrześcijański mógł się dopuścić podobnéj niegodziwości, trudnoby prawdziwie dać wiarę, gdyby dokumenta historyczne nagromadzone i po dziś dzień istniejące w Luwrze, aż nadto jasno nie przekonywały o tém. Z rozkazu Ludwika, rzemieślnicy paryzcy Anton i Lefer, zrobili dwie klatki żelazne, ale zupełnie odmienne

od klatki kardynała de la Balue. Nieszczęśliwe dzieci dosyć już były ukarane samém zamknięciem w ciasnych murach Bastylii, ale okropność ich położenia zwiększała wymyślona katusza: klatki te rozszerzone ku wierzchowi, u dołu miały kształt spiczasty, jak gdyby do góry przewrócona głowa cukru, przez co te nieszczęśliwe istoty w nich zamknięte, ani stać prosto, ani leżéć wyciągnione, ani siedziéć nie mogły, i jakąkolwiek chciałyby przybrać postawę, męki okrutne ponosić musiały.

Każdy się zapewne żalem i gniewem oburzy, czytając o tych okrucieństwach króla swiadczącego się bezustannie Bogiem i Świętymi, nieruszającego się nigdzie na krok bez relikwij.

Zemsta Ludwika, jeszcze się tą niesłychaną nie nasyciła męczarnią; oprócz tego rozkazał, ażeby co dni dziesięć po jednym zębie każdemu z uwięzionych dzieci wyrywano. Kiedy przyszła chwila wykonania po piérwszy raz tego okrutnego wyroku, Henryk z całą mocą duszy szlachetnéj, nie troszcząc się o siebie, najżywsze za bratem swoim młodszym zanosił prośby, którego nad życie kochał.

— «Mama moja umrze»—wołał padając na kolana — «gdy się dowie, że małego mego braciszka tak męczą».

Człowiek, któremu to okrutne dane było zlecenie, przedstawiał Henrykowi, że gdyby na żądanie jego zezwolił, sam poddawałby swoje życie w niebezpieczeństwo, «a oprócz tego» dodał— «przy wyjściu dwa zęby muszę pokazać gubernatorowi Bastylii».

«Więc dobrze»—rzecze z żywością szlachetny Henryk — «wyrwij mi dwa zęby, a zostaw w całości zęby brata mojego, on jest tak delikatnego zdrowia, a ja silnym się czuję».

Wzruszony podziwieniem na podobną ofiarę czułości, cyrulik, który nie był z przyrody złym człowiekiem, łez swoich wstrzymać nie mógł, i gdyby był poszedł za piérwszém uczuciem, jakie mu się nawinęło, byłby się naraził na karę i nie dopełnił zlecenia, które teraz z największą tylko zgrozą mógł dopełnić. Lecz zastanowiwszy się, pomyślał, że inny na jego miejscu nie oszczędzałby może małego Franciszka, bardzo delikatnego i podtenczas chorującego, jako też Henryka z męzkiém sercem znoszącego więzienie; u-

słuchał tedy próśb tak dobrego brata, i równą prawie jemu uzbroiwszy się odwagą, drżącą ręką wyrwał mu dwa zęby.

Co za męzki charakter! Henryk ani razu nie krzyknął, a nawet wesołym się być zdawał, że cierpiał za ukochanego brata. Franciszek w swojéj klatce płakał i jęczał widząc brata za siebie cierpiącego.

Ta barbarzyńska operacya co dzisięć dni powtarzana była, a młody de Nemour aż do ostatniego zęba za siebie i brata swego wszystkie postradał.

Przecież cierpienia, jakich ciągle doświadczał, przechodziły jego siły, oprzéć im się dłużéj nie zdołał: niedostatek powietrza, brak ruchu i starań potrzebnych około tak młodéj latorośli, okropne wspomnienia rozdzierającego serce zgonu ojca, zmartwienia z wyrwania z łona ukochanéj matki, o któréj nie miał najmniejszéj wiadomości, ustawiczne męczarnie, wszystko to w głęboki popchnęło go smutek. Wolna gorączka ustawicznie go trawiła, i tak ta niewinna, nieszczęśliwa ofiara, w kilka miesięcy zeszła do grobu, a tak niedaleko od kolébki usypanego.....

W przeddzień ostatniego dnia swego, Henryk rzekł do brata:

—«Bracie mój! wkrótce cię opuszczę, ach jakże cierpię, że kochanéj mamy naszéj przed śmiercią nie ujrzę! Serce mi mówi, że się z nią wkrótce zobaczysz; zapewnij ją kochany przyjacielu, że umieram kochając ją jeszcze więcéj, niżeli ją kochałem, kiedy przy niéj mieliśmy szczęście się znajdować.

Na te słowa dwaj bracia płakać zaczęli; w kilka chwil potem rzekł Henryk przerywanym głosem, czując się słabszym: «Już dłużéj oddychać nie mogę, podaj mi rękę po raz ostatni, uścisnij ją — do widzenia na tamtym świecie».

Te były jego ostatnie słowa.

Tym sposobem umarł ten rzadki i szlachetny brat, bez żadnéj innéj pomocy prócz starego kapłana, który go po prostu do śmierci gotował.

Mały Franciszek chociaż słaby, opuszczony i cierpiący, wystarczył sam sobie i cudowną siłą oparł się okropnemu położeniu swemu.

W kilka lat potem umarł przecież potworny Ludwik XI; za wstąpieniem na tron Karola VIII, uwolniony został z więzienia ostatni potomek

Armaniaków; lecz ten nieszczęśliwy książę na całe życie kulawym i kaleką został. Jednakże młody męczennik odznaczył się późniéj jako wojownik we Włoszech; Ludwik XII mianował go Wice-Królem Nieapolu. Zginął przeciw Hiszpanom pod Berignole w r. 1503.

IV.

MICHAŁ AGOLINO.

[illegible] teraz [illegible] księgę na ca-
łe życie kobiercem i [illegible] został. Jednakże nie-
[illegible] [illegible] [illegible] się później jako woj-
wódz we Włoszech; Ludwik XII mianował go
Wice-Królem Neapolu. Zginął przecież Hiszpanom
pod [illegible] w r. 1503.

IV.

MICHAŁ AGOLINO.

IV.

Michał Agolino Nerin, albo Dziécię prawdomówne.

Urodz. 1487 we Florencyi, umarł 1503 w Bolonii.

Michał Agolino zasługuje ze wszystkich względów na to, żeby pomiędzy najsławniejszemi dziećmi był umieszczony. Do miłości nauk, bystrego i ukształconego dowcipu, łączył on charakter przyjemny, miłą łagodność i czystość obyczajów nieskalaną.

Ojciec jego był uczonym, sam uczył syna swego pierwszych początków grammatyki greckiéj, łacinskiéj i włoskiéj. Ale pomimo chęci, interesa wielkiéj wagi, a których się zupełnie nie spodziewał, oderwały go od lubego zatrudnienia; musiał więc syna, jeszcze wówczas bardzo mło-

dego, zawieźć do Rzymu, gdzie wówczas nauki kwitnęły, i staraniom go sławnego Pawła di Ranciglione powierzyć.

Michał z taką pilnością kształcił się w naukach wykładanych sobie przez tego światłego męża, że nie mając jeszcze lat dziesięć skończonych, osięgnął stopień *dojrzałości* w naukach.

Łatwo było przewidzieć, że młodzian oddający się nauce z takim zapałem i z taką stałością charakteru, dopnie najświetniejszéj przyszłości.

Zarówno biegłym był w greckim, łacińskim, hiszpańskim i włoskim języku, przewybornie rachował i rysował, a w wieku, w którym inne dzieci ledwie czytać poczynają, on już znał na palcach historyą świętą, powszechną i własnego kraju; wszyscy zaś sławni poeci tak mu znani byli, że z jednego wiersza odgadł źródło z którego był czerpany.

Najwięcéj wpłynęło na rozwinięcie się umysłu tego pracowitego dziecięcia, zamiłowanie w porządku stałym, który sobie naznaczył w naukach i nigdy nie łamał. Robił wyciągi z pism rozmaitych autorów, i w wieku tak młodym, w którym rozum prawie jeszcze drzémie w kolebce, on już

odznaczał się gruntownością myśli, sądu i doborem słów zastanawiającym.

Często wprawdzię zdarzy się widzieć nader młodych autorów, których atoli dzieła są tylko płodem naśladowania i pamięci, ale jak rzadko się zdarza, żeby rozsądek i geniusz w nich się wykazywał?

Zaiste rzadką, a może i jedyną, aż do Michała Agolina jest rzeczą, widzieć dzieła wyszłe z głowy dziecięcia pełne rozumu, dokładności i użyteczności, a takiemi w istocie są dzieła tego cudownego dziecka.

Ponieważ ten młody umysł do wierszopistwa największy okazywał talent, przeto w wierszach łacińskich wszystkie najgłębsze prawidła i uwagi z Homera, Wirgiliusza, Platona, Horacego, Salustiusza, Owidiusza i Cycerona we względzie polityki i moralności opisał.

Nie miał jeszcze ukończonych lat trzynaście, kiedy dokonał tego pracowitego dzieła i dla użytku współziomków podał do druku. Przysłowia Salomona znajdują się po większéj części w tym drogim zbiorze, ozdobionym najpiękniejszym

stylem. Co zaś sławy tak młodego dopełnia uczonego, że dzieło jego, zaraz po okazaniu się, nawet za granicą w Niemczech, Francyi i Anglii pozyskało jednomyślne pochwały. Najuczeńsi professorowie wypisy z niego robili, ozdabiali swojemi pochwalnemi uwagami i uczącéj się młodzieży zalecali. W krótkim czasie liczne jego wydano edycye, nakoniec klassycznem go dziełem ogłoszono: we wszystkich szkołach i akademiach w Hiszpanii, we Włoszech, Francyi i Niderlandach na miejsce sławnych Distyków Katona, podano dzieło dwunastoletniego Agolina za elementarne.

Sławne to dziecię, miało jeszcze prócz nauki i dowcipu, inne przymioty podnoszące go w oczach młodzieży, chcącéj naśladować co jest dobrem. Michał z największą uwagą słuchał rad starszych, nigdy nie ukrywał prawdy i najprzykładniejszemi odznaczał się obyczajami, co mu zjednało szacunek spółczesnych a sławę w potomności. Czystość, przyzwoitość w znalezieniu się, wesołość, równie miłym go czyniły kolegom, jak talent i nauka uczonym mistrzom jego. Nie nadymając się nigdy z nauki swojéj, młody Agolino umiał

sobie nadać ton w pośród spółuczniów, chociaż wszystkie ich zabawy, właściwe młodemu wiekowi, podzielał z całym zapałem wesołości. Władza jego nad kolegami była tak wielka, że jedném słowem powstrzymywał rozpustnych, którzy granice przyzwoitości przekraczali; najwyuzdańsi swywolnicy nie śmieli do niego przystąpić bez uszanowania, a niém sobie zdobył takie stanowisko, że bezwstydni i popsuci nadaremnie surowość jego obyczajów wyszydzać usiłowali; na nim niesprawiedliwy śmiech nie robił wrażenia, nie był zdolnym sprowadzić go z prawéj drogi. Nauki, które Michał Agolino w klassykach wyczytał, nie sam tylko rozum jego ozdobiły, lecz także skutecznie wpłynęły na uszlachetnienie serca, czego dowiódł czynami swojemi; i aby lepiéj wykazać piękny charakter tego młodzieńca, opowiemy jeszcze następujący ustęp z jego życia, za który historya zaręcza.

Przez pilność swoją i pracę, nabył widocznéj w szkołach wyższości, dla tego też prawie zawsze piérwszą otrzymywał nagrodę. Jeden z współuczniów jego, nazwany Belvicino, pracował

dniem i nocą najusilniéj, aby go koniecznie przewyższyć, lecz nigdy mu nawet wyrównać nie potrafił. Wkrótce głębokie zmartwienie ogarnęło tego spółucznia, chudł i nikł prawie widocznie, życie jego prawie niebezpieczeństwem zagrożone było.

Agolino nie mógł obojętnem okiem spoglądać na niebezpieczny stan swojego przyjaciela, a szlachetne jego serce postanowiło wyrwać go chorobie, która od jakiegoś czasu go dręczyła. Jak tylko więc doszedł przyczyny jego słabości, nie wahał się ani na chwilę zrobić ofiarę z miłości własnéj, dla zdrowia przyjaciela, i kiedy tylko piérwszy nastąpił popis, a uczniowie skreślali zadane im wypracowanie, umyślnie popełnił błędy w swojém, i tym sposobem dla Belviciniego wyrobił piérwsze miejsce. Młody ten uczeń ucieszony tak niespodzianie odniesionym zwycięztwem, odzyskał wkrótce kolory młodości razem z jéj zdrowiem. Co zaś było najchlubniejszém we wspaniałym postępku młodego Agolina, że nigdy ani słowem, ani żadnym znakiem nie pochwalił się tym czynem.

Nieszczęściem, świat nie długo cieszył się tym młodzieńcem tyle rokującym nadziei: niebo pozazdrościło go ziemi. Michał Agolino zostawszy w szesnastym roku życia Doktorem Filozofii, umarł wkrótce potem nagle na apopleksyą, wykładając historyą sztuki rymotwórczéj w sławnéj wszechnicy Bolońskiéj.

V.

JUSTYNA DE CHATEAUBRIANT.

V.

Justyna de Chateaubriant, córka hrabiego Chateaubriant de Laval Montmorency.

(1520—1529)

Wyborne serce, szlachetna dusza, łagodność charakteru, wdzięczność, ta cnota niebieska, gotowość do poświęcenia, szczególne do najczystszego hołdu mają prawa. Młoda Justyna de Chateaubriant posiadała te szczęśliwe dary natury. W wieku zabawek i igraszek, miłość dziecinna do matki, była w niéj panująca. Wysoka ta cnota tak głębokich dała jéj doświadczyć wzruszeń, że grób dlań wykopała.

I pod tym względem zasługuje na szczególną uwagę

Żeby zaś lepiéj córkę dać poznać, powiemy wprzód cokolwiek o matce, gdyż historya jednéj, ściśle jest połączona z drugą.

Szesnastoletnia Franciszka de Foix, w rok po szlubie z hrabią Chateaubriant, miała dziecię którego tu historyą opisujemy.

Sama jeszcze na ten czas dziecięciem będąc, nie znała doświadczenia, tego owocu późniejszych lat życia.—Żywa, lekkomyślna, uparta, płocha, pełna dobrego o sobie rozumienia, którém ją piękność zaślepiała, żyła żadnych nie przeczuwając niedoli, a pochwały jakie ze wszech stron słyszała, uderzyły ją i popchnęły do błędu......

Franciszek I, gdy w r. 1515 na tron wstąpił, powziął zamysł złagodzenia surowych obyczajów panów swego dworu, najpiękniejsze z całego kraju ściągając doń kobiety.—Hrabina de Chateaubriant należała niezaprzeczenie do ich liczby, słabo się tylko od zaproszenia wymawiała, a wkrótce piérwszą stała się Damą królewskiego dworu. Mąż który ją uwielbiał, smiertelnie był zmartwiony, widząc ją od siebie oddaloną, i chociaż znakomite na dworze królewskim zajmowała stanowisko, uważał wszakże iż położenie jéj było

dla kobiety zacnéj niewłaściwe. Po różnych wypadkach, a mianowicie po nieszczęśliwéj bitwie pod Pawią, i uwięzieniu króla Francyi, przez dumnego Hiszpanii monarchę, hrabia de Chateaubriant wtargnął zatém zbrojno do zamku królewskiego w Blois, i uwiozł przemocą żonę swoją do Bretanii. Człowiek ten aż do barbarzyństwa zazdrośny i mściwy, nieszczęsliwą żonę w wieży zamku swego w dzikiéj Bretanii zamknął, kazawszy wprzódy okna jéj pokoju wapnem zupełnie zamalować, a czarném suknem ściany obić.—W tym okropnym grobie, nieszczęśliwa zemsty jego ofiara, bladém tylko swiatłem grobowéj lampy oświecona, za całą żywność miała tylko chleb, łzami swemi skropiony.

Pod pozorem troskliwości o córki swojéj zdrowie, ale w istocie, w celu tylko większego dla żony udręczenia, hrabia odebrał jéj maleńką Justynę, jedyną współuczestniczczkę i najsłodszą pociechę. Justyna nie mogąc żadną miarą żyć bez swojéj czułéj matki, w tém okropném położeniu okazała czułość serca i dzielnosć charakteru, których się w szescioletniém dziecięciu nie można było spodziewać.

—«Nie jesteś więcéj ojcem moim?» mówiła do pana de Chateaubriant «ponieważ dręczysz mamę moją, ponieważ mi ją wydzierasz, więc być twoją córką nie chcę.»

Zdziwiony i rozgniewany zuchwałą szczerością swojéj córki, ojciec ten udał się do najgwałtowniejszych środków, bił ją bez żadnéj litości, i mało brakowało że ją na miejscu nie zabił. Mała Justyna w bolu, tém smielszą i stalszą się okazywała, a największe męczarnie znosząc z odwagą, obojętnie rzekła.—«Jeżeli od mojéj kochanéj mamy mam być oddalona, wolę natychmiast umrzeć».

Hrabia nakoniec został wzruszony przez taka stałość, zmienił zupełnie tryb postępowania, a chcąc zawsze córkę przy sobie zatrzymać, użył z nią drogi łagodności. Justyna ani na moment się nie odmieniła, pieszczoty jednakowo przyjmowała jak i groźby.

Podwojono koło niéj starania, nalegano żeby nieco żywności przyjęła, lecz przez dwa dni, bynajmniéj jeść ani pić nie chciała.

Mąż ten okrutny, zwyciężony nakoniec tak

wielką stałością, powrócił natenczas dziecię, smutkiem wyniszczonéj matce.

Hrabia w swojéj zapalczywości, kilka ran ciężkich zadał Justynie w głowę, słodkie pieszczoty matki, wystarczyły do uleczenia ich; lecz zakrwawione serce nie tak łatwo wyleczyć można. To kochane dziecię drżało na samo wspomnienie imienia Chateaubriant, i zemdleć było gotowe.

To zaś jasno dowodzi, że nienawiść hrabiego, od matki aż do dziecięcia się rozciągała, że najmniejszéj ulgi niewinnemu temu dziecięciu nie starał się przynieść w jego okropnem więzieniu. Odjął jéj bez litości wszystkie cacka, które w jéj wieku są prawie niezbędne. Na chlebie tylko i wodzie ściśle przestawać musiała; zaledwie jéj cokolwiek do okrycia zostawiono. Do spoczynku zaś, nad zeschłe ręce i kolana matki nieszczęśliwéj, innego nie miała miejsca.—Pozbawiona wszelkich przyjemności i główniejszych nawet potrzeb życia, Justyna uczuła jednakże odradzającą się naturalną swoją wesołość, jak tylko się przekonała, że już ją nie myślą wydrzeć od łona ukochanéj matki.

Dzień i noc przy niéj zostawała, z największą

do wszystkiego przykładając się ochotą, cokolwiek się matce podobać mogło; rozweselała ją ile tylko mogła, i co chwila, na jéj się zawieszając szyi, z radością i uniesieniem mówiła: «Mamo, otóż przecie jesteśmy z sobą razem! otoż nakoniec znajduję się przy tobie».

O jakże dla nieszczęśliwéj matki pocieszającą jest rzeczą, mieć przy sobie dziecię, które było echem tak wymownėm czułości.

Przy ukochanéj swojéj córce, pani de Chateaubriant mniéj czuła okropność swego nowego położenia; a tkliwe pieszczoty Justyny, ożywiającym jéj duszę skrapiały balsamem.

Hrabina starała się robić wszystko, coby mogło zabawić i rozerwać to małe dziecię.

Ze wszystkich przykrości, najokropniejsza jest bez zaprzeczenia nieczynność; ze wszystkich położeń unudzenie, ta prawdziwa trucizna, która cię zwolna trawi, a zawsze na zabiciu kończy. Hrabina obydwom tym okropnym plagom zaradzić umiała, zatrudniając swoją córkę już to szyciem, już czytaniem.

To co dla wielu dzieci bywa przykrością, dla młodéj Justyny prawdziwéj zabawki stało się

przedmiotem,—tak dalece ta młoda istota, starała się podobać matce pilnością. Za pomocą alfabetu, który jéj matka na białém tle czarnym wyszyła jedwabiem, Justyna, która dotąd zupełnie liter nie znała, w przeciągu piętnastu dni, duże i małe doskonale poznała, a w pięciu miesiącach wszystkie rodzaje pism doskonale czytała.

—«Moja droga przyjaciółko» mówiła pani de Chateaubriant pewnego dnia do córki, «teraz kiedy już dobrze czytać umiesz, chcę cię nauczyć pisać, jak tylko zaś pisać się nauczysz, napiszesz list bardzo tkliwy do ojca. może zmiękczymy go tym sposobem, że nam z tego grobu wyjść dozwoli».

Zachęcenie czułéj matki, prędki bardzo w Justynie zrobiło skutek.—Pałając chęcią uwolnienia mamy swojéj z okropnéj niewoli, w któréj jak w grobie była zamknięta, czułe to dziecię, ze wszystkich sił przykładało się do pracy. Wiele nawet godzin w nocy na formowaniu liter przepędzała Justynka, a jak tylko słowa składać zaczęła, napisała list do ojca pełen prostoty i pokory, i natychmiast go przez jednego ze straży przesłała.

Hrabia nie odpowiedział na to wezwanie.

Drugi list nastąpił po piérwszym, po nim trzeci, i wiele innych, lecz wszystkie zostały bez skutku.....

Gdy się nie udał ten ostatni pomysł, na którym hrabina całe nadzieje pokładała, upadła zupełnie na duchu, i z boleścią przewidywała los, jaki ją późniéj spotkał.

—Nadzieja, ta ostatnia podpora nieszczęśliwych, przestała odtąd jéj przyświecać; pogrążyła się w najczarniejszą melancholiją, a smutek jéj udzielił się wkrótce i małéj Justynie.

Dwadzieścia i dwa miesiące minęły od czasu, jak Justyna w grobie tym z nieszczęśliwą jęczała matką. Niedostatek swieżego powietrza, najgorsza żywność, ani trochę nie patrafiły nadwerężyć jéj zdrowia. Zachowała aż dotąd tę wesołosć i siłę, która szczęśliwego młodości wieku i w łańcuchach nie opuszcza; ale kiedy spostrzegła okropny smutek matki, kiedy ją ujrzała zalewającą się łzami i żadnego nie używającą spoczynku, rozpacz opanowała ją nagle, niknęła widocznie, sen ją zupełnie opuścił, żadnéj do niczego ochoty nie miała, niczém się nie zajmo-

wała jak tylko rozerwaniem swéj najdroższéj przyjaciółki, któréj winna była życie.

Pewnéj nocy, gdy Justyna usnęła nieco, miała sen, który aż nadto tragiczny koniec jéj matce wróżył. Zdawało jéj się, że kilku siepaczy do ich pokoju weszło, że pochodnie i gołe szpady mieli w rękach. Hrabia de Chateaubriant na ich czele, z zaiskrzonemi od gniewu oczyma, puginałem w pierś żonę swoją ugodził.

Na widok ten Justyna zerwała się nagle, krzycząc przeraźliwie: «Ojcze! ojcze! nie zabijaj mojéj matki!»

Przyszedłszy cokolwiek z tak strasznego przestrachu do siebie, Justyna macać całe ciało matki swojéj zaczęła, a nie czując jéj poruszenia z rozpaczą wołała: «Mamo! mamo! czyliż już nie żyjesz?» — «Bądź spokojna kochana córko» mówiła hrabina przyciskając ją do piersi: «nic mi złego nie jest, staraj się usnąć.»

— «Ach jakże się cieszę, jakże się cieszę, że to sen był» mówiła Justyna i starała się jeszcze usnąć; ale jéj to nie podobną było rzeczą; zanadto tym okropnym snem przerażona była, a małe jéj serce ściśnione przestrachem, gwałtownie biło w piersi.

Nazajutrz opisała ten sen, i do dziś dnia istnieje dowód ten w archiwum rodziny Chateaubriandów.

Gorączka paląca trawiła ją: nagle usiadła przy matce, i zalewając się łzami rzekła: «Mam ci coś powiedzieć mamo».

—«Mów kochana córko».

—«Ja chciałabym umrzeć kochana mamo, bo nie mogę już dłużéj patrzyć na twoje zmartwienie, a tam u Boga uprosiłabym twoje uwolnienie.»

—«Nie córko moja» odpowie matka «życiem naszém nie wolno nam rozrządzać; ono do nas nie należy.— Bóg może próbuje naszéj cnoty. On się sam nad nami zlituje; a ty jakże byś mogła opuścić mnie, ja bez ciebie zamartwiłabym się tutaj w dni kilka na śmierć.»

Justyna ze łkaniem rzuciwszy się matce na szyję, przepraszała za życzenie sobie śmierci.

W kilka dni burza ogromna huczała na dworze, bałwany morskie, wydając przeraźliwy ryk, biły gwałtownie o brzegi, wiatr na najrozmaitsze tony huczał po rozwalinach wieży.

Justynka właśnie z matką odmawiała Anioł Pański, gdy na korytarzu dały się słyszeć stą-

pania, naprzód ciche i niewyraźne, następnie coraz bliższe i głośniejsze.

Uwięzione z niespokojnością wpatrywały się we drzwi, serca im gwałtownie biły, oddech zamarł na ustach; Justyna z bojaźnią twarz swoją kryła na łono matki.

A wtém podwoje z łoskotem się otworzyły; i czterech zamaskowanych ludzi ukazało się na progu.

Na ten widok pani de Chateaubriant zadrżała, a Justynka bohatérstwem uniesiona, śmiało stanęła przed matką, jakby ją zasłonić chciała od napaści, i łagodnie zapytała przybyłych:

«Czego chcecie moi dobrzy ludzie? mama jest słaba, nie przerażajcie jéj».

Ludzi tych, zdawała się dziwić śmiałość dziecięcia; stanęli jakby się obawiali daléj postąpić; ale jeden z nich, który się zdawał naczelnikiem wyprawy, postąpił parę kroków, i obracając się do zbirów groźnym zawołał głosem:

—«Cóż to stoicie jak posągi, pełnijcie swoją powinność.

Na ten głos trzech zamaskowanych, zbliżyło się do hrabiny, i wzięli ją pod ręce.

Justyna upadła na kolana, poznała głos swego okrutnego ojca i ręce wzniosłszy do góry, łzami zalana, błagała herszta o litość dla matki.

— «Krwi chcesz ojcze?» mówiła «to mnie masz, zabij mnie, ale mojéj mamy nie ruszaj».

Pani de Chateaubriant, która dotychczas była pogrążona w jakimś stanie bezwładności, nagle przyszła do siebie, i wydzierając się z rąk napastników wołała: — Moje dziecię! moje biédne, ukochane dziecię, co ty poczniesz bez mojéj opieki?»

Zbiry tymczasem usiłowali wyprowadzić hrabinę; Justynka uczepiła się jéj sukni, i tak mocno się trzymała, że niepodobieństwo było ją oderwać. Natenczas herszt zbliżył się do niéj, porwał ją gwałtownie, i oderwawszy od matki zawołał.

— «Wyprowadzajcie tamtę» i to mówiąc rzucił Justynkę na posłanie, a sam zaś śpiesznie się oddalił zamykając drzwi. Na schodach tylko rozlegały się głosy:

— «Justynko córko moja, nie opuszczaj mnie».

— «O nie opuszczę cię matko moja!» wołała Justynka, i gwałtownie biła we drzwi, ale te

zewnątrz zawarte, nie otwierały się pod słabemi uderzeniami dziewięcioletniego dziecka.

Natenczas obłąkany wzrok rzuciła na około, a spostrzegając okno, lotem błyskawicy rzuciła się ku niemu. Okno było zakratowane, i tu więc znalazła zaporę dzielącą ją od jéj ukochanéj matki.

Okno wychodziło na skałę, pod którą rozciągała się głęboka przepaść. Jüstyna ujrzała matkę niesioną bezprzytomną przez siepaczy.—Naprężywszy wszystkie siły, zdzierając sobie skórę na czole i rękach, zdołała stę przecisnąć pomiędzy kraty, i w parę sekund rozległ się tylko łoskot upadającego ciała na skałę, a na drugi dzień znaleziono zwłoki nieszczęśliwego dziecięcia zgruchotane na miazgę.

Justyna żyła tylko lat ośm i miesięcy cztery.

zewnątrz zawarte, nie otwierały się pod słabemi uderzeniami dziewięcioletniego dziecka.

Natomiast obłąkany wzrok rzuciła na około, a spostrzegłszy okno, lotem błyskawicy rzuciła się ku niemu. Okno było zakratowane, i tu więc znalazła zapory dzieląca ją od jej ukochanej matki.

Okno wychodziło na skałę, pod którą rozciągała się głęboka przepaść. Justyna uczuła nagłe mnienie bezprzytomne przez sekund. — Natężywszy wszystkie siły, odzierając sobie skórę na ciele i rękach, zdołała się przecisnąć pomiędzy kraty, i w parę sekund rozległ się tylko łoskot upadającego ciała na skałę, a na drugi dzień znaleziono zwłoki nieszczęśliwego dziecięcia zgruchotane na miazgę.

Justyna żyła tylko lat ośm i miesięcy cztery.

VI.

TEODOR AGRYPPA D'AUBIGNE.

VI.

Teodor Agryppa d'Aubigné.

Urodzony w Saint-Maury r. 1550 umarł w Genewie r. 1630.

Jednego jesiennego wieczora, siedziało trzech prawie jednego wieku mężczyzn przy kominie w gotyckiéj sali pełnéj szaf z książkami, obok nich zaś ślęczał nad ogromnym greckim foljałem siedemnastoletni chłopczyk z bystrém okiem, z zamyśloném czołem i z wyrazem nadzwyczajnéj energji w twarzy.

Ci panowie, są to znani w całéj Francyi ludzie: Henryk Etienne sławny drukarz i księgarz, doktór Beroald uczony filolog i pan d'Aubigné waleczny wódz protestantów.

Tém dzieckiem zaś, które w téj chwili tłuma-

czy dyalog Platona na język francuzki, jest syn pana d'Aubigné, Teodor Agryppa, cudowne dziecko, które już w szóstym roku życia znało doskonale cztery języki: francuzki, łaciński, grecki i hebrajski. Ci panowie nie spuszczali oka z zadziwiającego dziecka, które od kilku godzin pracując, słowa nie przerzekło i bez pomocy dykcyonarza przekładało Kritona, najtrudniejszy dyalog jaki Platon napisał.

Nareszcie dziecko przerwało milczenie i rzekło zeskakując z krzesła:

«Otóż nareszcie skończyłem! mój ojcze przejrzyj ten rękopis i objaw mi twoje o nim zdanie».

—«Niech twój uczony nakładca o tém sądzi» rzecze generał d'Aubigné,—biorąc syna swego na kolana i ściskając go z wyrazem niewypowiedzianej tkliwości, dodał:

—«Niech się najprzód pan Etienne upewni, czy ci się nie wymknął jaki nonsens, czy wszystko wiernie oddałeś».

Dziecko podniosło głowę z wyrazem niewypowiedzianéj pewności siebie, i podało swą pracę Henrykowi Etienne, z uśmiechem zdradzającym ile pokłada wiary w siebie.

Doktor Beroald, nauczyciel uczonego malca, wziął tekst grecki w ręce i rzekł do Henryka Etienne:

«Jestem na pańskie usługi». Sławny drukarz odczytywał tłómaczenie w miarę jak Beroald tekstu pilnował. Dziecko przysłuchiwało się oparłszy swą jasną kędzierzawą głowę o ramie ojca.

Odczytanie to trwało więcéj jak półgodziny, nareszcie Henryk Etienne krzyknął z największym zapałem:

—Dziwnie, pięknie! oto duch Platona uchwycony w francuzki język! Cha! teraz wierzę w cuda, przynajmniéj w cudowność tego dziecka, które w moich czasach tak wielkie zwyciężyło trudności. Niech cała Francya wié, jakiego uczonego posiada w tém dziecku.

Na te pochwały, dziecko wlepiło swe oczy w twarz ojca, badając go czy z niego zadowolony. Pan d'Aubigné nie mógł słowa przemówić, tylko łzy wystąpiły mu w oczach, nie łzy radości, lecz smutku i zmartwienia.

«Ojcze, czemu płaczesz?», spyta Teodor tuląc się do piersi rodzica.

—«Mój Teodorku, czy nie wiesz, że cudowne

dzieci zwykle nie długo żyją?» odpowie ojciec drgającemi usty.

—«Ja wiecznie żyć będę ojcze, ja nie zniknę z téj ziemi, nie napełniwszy jéj wprzódy chwałą naszego nazwiska»—odpowie dziecko z tak proroczym wyrazem w swych oczach, że wszyscy przytomni zadrżeli, jak gdyby głosem samego Boga porażeni.

Ojciec łzy otarł i rozjaśniając czoło rzekł:

—«Więc dotrzymuję ci słowa: «pozwolę p. Etienne zabrać z sobą twój rękopism do Paryża, i wydać go z twoim wizerunkiem na czele».

—«A to wykonaném zostanie bez zwłoki,—natychmiast, i pod portretem uczonego tłómacza Platona, zostanie wymieniony jego wiek; w osobnéj zaś przedmowie, którą sam napiszę, damy szczegóły życia jego.

—«Nie mój to portret chciałbym tam widzieć» rzeknie dziecko.

—«Jakiż więc?» zapyta Beroald, a w duchu mysli: «być może mój własny, bo czyż nie jestem jego nauczycielem? czyż mnie nie wszystko winien, co umie?»

—«Portret matki mojéj tam chciałbym widzieć»—powie Teodorek ze wzruszeniem.

—«Kochane dziecko, zkąd ta myśl? spyta ojciec, całując uczonego syna w czoło.

—«Zkąd ta myśl ojcze?»..... zawoła Teodor Agryppa «ponieważ matka, która umarła dając mi życie, jednak mnie nie opuściła, i często przychodzi do mnie nocną porą rozmawiać ze mną, udzielać mi rad i całować mię».

Ojciec słuchał w osłupieniu.

—«Tak jest jenerale»—dodał nauczyciel—«on ma te widzenia: dotychczas nie śmiałem o tém mówić».

—«Daj mu mówić samemu» rzecze p. d'Aubigné—«powiedz, powiedz moje dziecko, kiedy i jak widziałeś twoją matkę?»

—«Widziałem ją od dnia, w którym myśléć zacząłem; i zawsze mi się ukazywała pod temi samemi kształtami: wysoka, wysmukła, biała i nadzwyczaj piękna. Jéj suknie szeleściały gdy się zbliżała nocną porą wolniuteńko do łóżka mojego, a gdy mię całowała swemi chłodnemi ustami, jakiś ogień wstępował we mnie i przejmował mnie uczuciem świętéj miłości. A gdym po

piérwszy raz, temu trzy miesiące wziął się do tłómaczenia Platona i zwątpił o sile swojéj, matka ukazała się z uśmiechającą się twarzą, i wprawdzie milczała, ust nie otworzyła, lecz czułem w głębi méj duszy, że mi mówi: «Pracuj mój drogi synu, pocieszaj ojca twego po méj śmierci, boś ty stał się niechcący jéj przyczyną; bądź zaszczytem naszego rodu, nie trać czasu na płoche zabawy, idź naprzód, matka nie spuszcza z ciebie oka.» Otoż ojcze od téj chwili praca stała się dla mnie nadzwyczaj lekką, bo cały rozum uczonéj mojéj, grecki i łaciński język tak dobrze znającéj matki, przeszedł we mnie i przeniknął otchłanie duszy mojéj, o których wcale nie wiedziałem, że istnieją. I takim sposobem i teraz przetłómaczyłem ten dialog Platona; jakże mógłbym bez tego cudownego wpływu, odgadnąć piękności i zgłębić trudny sens? A zatém cała zasługa należy się méj matce, i jéj portretowi miejsce na czele książki.»

—«Twoje życzenie będą spełnione» rzecze p. d'Aubigné, do głębi wzruszony—«powierzymy panu Henrykowi Etienne jeden z portretów twéj świetnéj, przedwcześnie zgasłéj matki, znajdziesz

ją na czele książki uśmiechającą się do ciebie, i zachęcającą do zwalczenia trudności.

* * *

Młody Teodor d'Aubigné, kształcąc swój umysł, nie zapomniał kształcić ciała i siły w ćwiczeniach gimnastycznych. Codziennie zobaczyłeś go na dziedzińcu zamkowym lub na wałach pomiędzy łucznikami ojca, strzelającego z łuku, rzucającego kamienie z procy lub też fechtującego się. Lecz pośród tych zatrudnień umysł nie przestawał działać, owszem czuwał i ćwiczył się ciągle; młody Teodor z łukiem, procą i szpadą w ręku, ciągle improwizował bohaterskie wiersze lub hymny do wolności. Wiele z tych wierszy tak improwizowanych, spisał Beroald, a pomiędzy niemi następujące, któremi Fortuna przemawia do młodziutkiego poety.

Je t'épiais ces jours lisant si curieux
La mort du grand Séneque et celle de Thrasée.
Je lisais par tes yeux en ton âme embrasée,
Que tu enviais plus Séneque que Néron,
Plustôt mourir en Caton que vivre en Ciceron...

Szczególniéj się zachwycał bohaterami starożytności już w najmłodszym wieku, a szlachetna dążność przebija się we wszystkich wierszach jego, nawet w siódmym i w ósmym roku życia improwizowanych.

* *
*

W tenczas to toczyły się we Francyi owe okropne boje, pomiędzy Hugonotami i Katolikami, We wszystkich prawie miastach wznoszono rusztowania i stosy, palono i ścinano o herezją obwinionych protestantów. Generał d'Aubigné był gorliwym kalwinistą; raz udając się z synem wówczas dziewięcioletnim do Paryża, przebywa przez Amboise, i jadąc konno wzdłuż Ligiery zoczył wielkie zbiegowisko ludu pod wałami samego zamku.

—«Co to znaczy mój ojcze?» spyta Teodor.

—«Jedź za mną i nie lękaj się niczego, z wyrazu twarzy tego ludu widzę, że się tu coś straszliwego dziać musi».

Wolno postępowali—aż się znaleźli pod stopniami olbrzymich schodów prowadzących do zam-

ku. Właśnie tam wzniesiono rusztowanie i na palach zatykano dziesięć głów ludzkich uciętych. Przebóg! ojciec i syn d'Aubigné poznali w tych krwią zbroczonych, bladych głowach tyleż przyjaciół i wojskowych kollegów.

—«O przeklęci kaci!!» krzyknie Teodor na całe gardło—«oni ścięli najlepszych obywateli Francyi».

Ośm tysięcy osób otaczało ich w téj chwili i zwróciło oczy i broń przeciw młodemu zuchwałemu protestantowi.

Ojciec i syn dobyli szabli i spiąwszy konie ostrogami przedarli się przez tłum i kilkuset rozsianych w nim łuczników. Pędzą ku rzece ścigani przez strzały, rzucają się w nurty Ligiery, ani jednéj nie otrzymawszy rany i przebywają na drugą stronę wartkiéj rzeki.

—«Teodorze! z konia!» krzyknie wódz protestancki» klęknij tu na brzegach Ligiery naprzeciw temu rusztowaniu i przysięgnij, że się pomścisz téj krwi niewinnéj i że nigdy nie zmienisz zasad w których wzrastałeś».

—«Przysięgam» rzecze Teodor zeskakując z konia, «że bronić będę uciśnionych do ostatniéj

kropli krwi mojéj, i że nie odstąpię od naszéj świętéj wiary, lecz zemstę poświęcam na ołtarzu Chrystusa».

Zawzięty hugonota nie mógł na synie swoim wymódz przysięgi zemsty, lecz tę dotrzymał młody Teodor, którą poprzysiągł, i bił się za swoją wiarę, gdy była uciśnioną, zawsze stawał w obronie gnębionych, i w późnéj starości najwierniéj wytrwał w swych zasadach, głośno potępiając króla swego, który dla korony poświęcił wiarę i przez to stał się powodem tysiącznych prześladowań wymierzonych późniéj na Hugonotów.

Pan d'Aubigné objął dowodztwo wojska protestantów w Burgundyi i zostawił syna swego w Paryżu, pod pieczą uczonego Beroalda. Żyli tutaj nadzwyczaj cicho, oddając się naukom, lecz jednego dnia uprzedzono ich, że nazajutrz mają być uwięzieni, oskarżeni o herezją i zapewne spaleni.

Nauczyciel, uczeń i słudzy ratują się ucieczką na koniach; młody Teodor jest na czele hufca z bronią w ręku. Lecz w miasteczku Courances, gdzie się mniemali być w bezpieczeństwie, uwię-

ziono ich nocną porą, bo właśnie niespodzianie przybył srogi prześladowca protestantów, hrabia de Baufflers z księżmi, katami i z wojskiem do Courances, gdzie wielu mieszkało protestantów, i już się rozpoczęły egzekucye na rynku; już na dziesięciu stosach piekli się hugonoci.

Przywiedziono ich przed stos i skazano na spalenie, jeśli natychmiast nie wyrzekną się protestantyzmu.

—«Nigdy! nigdy! ani ja, ani mój nauczyciel, ani moi ludzie tego nie zrobią»—krzyknie Teodor, wówczas siedmnaście lat mający.

—«Cóż ty młoda żmijo, odważasz się brać odpowiedzialnosć za duszę tych ludzi?» spyta sławny ksiądz Filibert de Boufflers, brat hrabiego i najgorliwszy wytępiacz protestantów.

—«A jakże ty kapłanie Boga Chrześcijańskiego,» odpowie Teodor, «możesz brać na siebie odpowiedzialność za śmierć tylu bliźnich twoich, których codziennie wysyłasz na stosy, wiedząc że jednego protestanta śmierć, pięciu innych zaostrza do czynu, a żadnego nie strwoży?» Te słowa były wypowiedziane z takim spokojem i zarazem z taką szczerością, że ksiądz Filibert zbladł i za-

drżał, hrabia zaś de Boufflers zgrzytnął przeraźliwie zębami i rzekł:

—«Masz godzinę czasu do namysłu, jeśli nie odstąpisz od błędów przeklętego kalwinistwa, zginiecie wszyscy razem na tym stosie».

Teodor gotował się na śmierć odśpiewywaniem psalmów, i wzmacniał nauczyciela swego i sługi w wierze; potém do nich długo przemawiał, a widząc ich smutnych rozweselał ich — tańcząc około stosu na którym wkrótce miał zginąć. Bóg nie dozwolił dalszego okrucieństwa, jakaś straszliwa burza z piorunami zrywa się, wzdęte trąbą morską wody Marny z łoża występują, wlatują na plac na którym się odbywały te straszliwe egzekucye, zalewają stosy, obalają drzewa i żołnierzy; ciemność następuje, i wtenczas to, kiedy wszyscy byli w największym strachu i Boufflerowie schronili się pod sklepienie kościoła, jakiś oficer przystępuje do Teodora d'Aubigné i rzecze odwiązując mu spętane na krzyżu ręce:

— «Bóg nie chce żebyś zginął, ani żeby ginęli twoi ludzie: korzystajcie z zgiełku i uciekajcie».

Teodor przerznął pęta swych ludzi, kazał im

wziąść co było na podorędziu broni, i co miał siły uciekał z towarzyszami.

Długo się błąkali i ukrywali w lasach i bagnach, lecz nareszcie po wielu i rozlicznych niebezpieczeństwach doszli do Montargis w Burgundyi.

Tu w Montargis rezydowała Renata córka króla Ludwika XII, a wdowa po Herkulesie d'Este, księciu Ferrary. Ta królewna wyznawała publicznie kalwinizm i była nadzwyczaj światłą, nawet uczoną osobą. Wzięła uciekających w opiekę do własnego zamku, i zachwycona roztropnością Teodora mianowała go swoim przybocznym paziem.

Całe dwa lata pozostał tu młody d'Aubigné z swym nauczycielem u księżnéj Renaty, lecz nareszcie na rozkaz ojca musiał opuścić rozkosze dworu bardzo oświeconego, ale podobno zarazem dość wolnych obyczajów, tak jak dwór królowéj Nawarry; a zdaje się że pod wszystkiemi względami młody d'Aubigné bardzo się wcześnie rozwijał. Jenerał d'Aubigné trzymał wówczas w swéj ręce Orleans z armiją protestantów i do siebie powołał syna wraz z jego guwernerem.

Przybywają do Orleanu i dowiadują się, że

w mieście straszliwa zaraza, że już połowa ludności wymarła, a druga połowa oczekuje śmierci.

—«Nie wstępujmy do tego miasta, tutaj śmierć jest niechybną» rzecze Beroald.

—«Ale tu jest mój ojciec, ja chcę dzielić jego niebezpieczeństwa» odpowie Teodor, i niczem nieustraszony wjeżdża do miasta i znajduje ojca.

—«Ach biedne dziecko!» krzyknie jenerał «więc natom cię sprowadził żebyś umarło?»

—«Na to, żebym się bił przy twoim boku« odpowie niezachwiany Teodor. Jednakże zaraza go dotknęła, właśnie gdy wojska katolickie obległy Orlean i bombardować zaczęły miasto.— Teodor otrzymał lekką ranę strzałą w ramię, zaraza natychmiast się przyłączyła do gorączki. Biedny ojciec w rozpaczy, nawet pielęgnować syna nie może, bo nieprzyjaciel ciągle naciera, szturmem chce wziąść miasto. A właśnie też skonał uczony Beroald także w skutek zarazy.

—«Boże wielki cóż tu robić?» rzecze rozpaczając wódz protestantów «czy tu zostawić mego syna na pastwę śmierci?»

Wtém zjawia się jakiś stary inwalid protestantski i rzeknie:

—«Nie rozpaczaj panie i broń miasta, a ja pilnować będę twego syna i oddam ci go zdrowym«.

I to mówiąc stary hugonota usiadł obok łóżka chorego, gorączką trapionego Teodora i zaintonował psalmy.—«Wodzu bądz spokojny, teraz twój syn jest pod opieką Boga» rzecze stary hugonota z taką pewnością siebie, że spokojność istotnie wstąpiła w duszę wodza.

Stary inwalid ciągle śpiewał psalmy, i jak jeden przestał to drugi zaczynał, a swego pacyenta poił przytém wodą.

Taka kuracya trwała dni ośm, młody Teodor wyzdrowiał, tylko w skutek wrzodu zachował na całe życie głęboką bliznę na głowie.

Jak tylko stanął na nogi, zapragnął natychmiast wrócić do ojca na plac boju.

Stary hugonota nie opierał się temu, tylko owszem przyprowadziwszy konia wsadził swego pacyenta na siodło, i prowadził konia za cugle spiewając przytém psalmy.

W téj chwili bito się zacięcie.

Teodor widzi ojca swego, na czele hufca zbrojnych wypadającego wycieczką na oblegających.

W téj chwili młody d'Aubigné odzyskuje wszyst-

kie siły, dobywa szpady, spina konia ostrogami, i dziwnie donośnym głosem spiewając psalmy, zbiera hufiec i z nim wypada za ojcem.

Teodor po chorobie jeszcze blady, tak młody i piękny, był wówczas podobniejszy do anioła jak do człowieka, i na jego widok wszyscy garnęli się koło niego, i śpiewając psalmy szli naprzód, z największém bohaterstwém i na śmierć przygotowani.

Ale już wprzódy ojciec d'Aubigné starł się z nieprzyjacielem, i to starcie było okropne, krew lała się strugami.

Pan d'Aubigné pada, czerepem od granatu ranny; w téj właśnie chwili dobiega syn jego.

—«Ojcze? ojcze! czyś ranny?» krzyczy Teodor rozpaczliwym głosem.

—«Na śmierć mój synu: Teodorze d'Aubigné dowództwo tobie oddaję, bij się do upadłego, nie poddawaj się za nic w swiecie, broń swéj wiary mieczem i piórem».—To były ostatnie słowa jenerała d'Aubigné.

Teodor przysiągł że nie odstąpi od swych zasad. Pomimo groźb ciągle w liczbę wzrastającego nieprzyjaciela wytrwał w obronie Orleanu, i

nareszcie odparł wroga, zabiwszy własną ręką hrabiego Boufflers, tego samego, który go w Courances chciał spalić.

Tyle męztwa i zdolności okazanéj w tak trudnych okolicznościach, zwróciły nareszcie uwagę Henryka króla Nawarry na się: młody d'Aubigné powołany na jego dwór, wkrótce zyskał przyjaźń króla i królowéj, uczonéj Małgorzaty de Valois.

Korzystał Teodor z piérwszych chwil spokojności w kraju, poświęcił się nauce i udał się do Genewy, aby tam się kształcić w akademii.

W roku szesnastym życia został doktorem filozofii.

Wkrótce potem nowe wybuchły wojny pomiędzy katolikami i protestantami. Z akademii wrócił młody doktór do obozu króla Nawary i już odtąd wszystkie jego losy dzielił, pisząc na biwakach dzieła do dziś dnia za klassyczne uważane, np: śliczną tragedyę Circe.

W ciągu tych wojen, Teodor d'Aubigné został w bardzo młodym wieku marszałkiem polnym a następnie wice-admirałem Bretanii, i gubernatorem wyspy Oléron. On tò najwięcéj przyłożył się do odzyskania tronu Henrykowi, i w naj-

większych niebezpieczeństwach tak jak i w dworskich intrygach pokazał się nieugiętym kalwinów zwolennikiem.

Regulusowi wyrównał w słówności i w wzgardzie śmierci. Raz podczas wojny domowéj został wzięty do niewoli przez margrabiego de Saint-Luc wodza katolickiego, z którym żył kiedyś w młodości bardzo dobrze.

Już Teodor d'Aubigné był wtenczas żonaty z Zuzanną de Lerney, panną znakomitéj piękności i zdolności, która wówczas mieszkała w Roszelli kiedy on się dostał do niewoli.

Na słowo honoru, margrabia de Saint-Luc pozwolił mu iść odwiedzić na dni kilka żonę, a tu w Roszelli dowiaduje się d'Aubigné, że go Katarzyna de Medicis na śmierć skazała. Pomimo tego, wierny słowu danemu hugonota wraca do niewoli, nic nie wspominając żonie o czekającéj go śmierci.

Margrabia de Saint-Luc nie mało się zmartwił widząc swego więźnia wracającego, ale się jeszcze więcéj zadziwił gdy ten przemówił:

— «Margrabio! wiem co mnie czeka, moje gar-

dło jest na twoje rozkazy, nic się nie żenuj, ja na twojem miejscu toż samo zrobiłbym, co ty zrobić musisz».

—«Dobrze moj kochany przyjacielu« odpowie margrabia, «kiedy już tak chcesz koniecznie, ale tym czasem nim ci wzniosą rusztowanie odpowiednie twéj godności, zostań u mnie na obiedzie; zresztą na czczo umierać to podobno nie zdrowo».

Admirał został na obiedzie, dużo rozmawiał, jadł z dobrym apetytem, a dowiedziawszy się że już wszystko przygotowane do egzekucyi — pożegnał się z znajomymi, i poszedł odśpiewując psalmy na rusztowanie, gdzie już czekał kat z ogromnym mieczem w ręku, obok fotelu czerwoném suknem wybitego, i trumny do połowy trocinami napełnionéj.

W téj chwili dochodzi wieść że syn margrabiego de Saint-Luc dostał się w niewolę protestantom, i będzie powieszony z trzydziestu innymi niewolnikami, jeżeli Teodorowi d'Aubigné włos z głowy spadnie.—Margrabia nie miał odwagi wykonać rozkazu zawziętéj Katarzyny de Medicis, i poświęcić własnego syna dla dogodze-

nia fanatyzmowi téj potwornéj niewiasty. Późniéj musiał za to odpokutować własną głową.

* * *

Po śmierci Henryka IV, Teodor d'Aubigné ogłosił swą sławną księgę pod tytułem: «Histoire dépuis 1550 jusqu'en 1601,—w któréj z niesłychaną szczerością i odwagą wykrywa błędy wielu żyjących znakomitych osób, a pomiędzy niemi Katarzyny de Medicis.

Księga ta została publicznie spalona w Paryżu ręką kata, jéj autor zaś skazany na ucięcie głowy i na konfiskatę majątku.

Teodor d'Aubigné zdołał uciec do Genewy, i tam żył aż do śmierci, oddany naukom, i wykładając historyą i filozofiją w sławnéj wszechnicy.

Jego syn, Konstanty d'Aubigné, był ojcem pani de Maintenon, która przeszła z protestantyzmu na katolickie wyznanie, została żoną Ludwika XIV i podobno go nakłoniła do odwołania edyktu Nanteńskiego, który tylu protestantów pozbawił ojczyzny.

Doszedłszy ośmdziesiątego pierwszego roku

życia, d'Aubigné uczuł, że śmierć się zbliża;— sam sobie skreślił napis grobowy i wybrał grób w klasztorze S-go Piotra, gdzie też został pochowany.

Do dziś dnia napis swiadczy o jędrności umysłowéj starca ośmdziesięcioletniego, który w siódmym roku życia już był sławnym z nauki, a którą do ostatniéj chwili życia zachował.

[illegible]

[illegible] chują [illegible] wykrywa błędy wielu [illegible] znakomitych osób, a pomiędzy innemi Katarzyny de Medicis.

Księga ta została publicznie spalona w Paryżu ręką kata, jej autor zaś skazany na ucięcie głowy i na konfiskatę majątku.

Tenże d'Aubigné zdołał uciec do Genewy, i tam żył aż do śmierci, oddany naukom, i wykładając historyą i filozofią w sławnej wszechnicy.

Jego syn Konstanty d'Aubigné był ojcem pani de Maintenon, która przeszła z protestantyzmu na katolickie wyznanie, została żoną Ludwika XIV i podobno go nakłoniła do odwołania edyktu Nanteńskiego, który tylu protestantów [illegible] czyni.

[illegible] osiemdziesiątego [illegible]

CZĘŚĆ DRUGA.

POLACY.

VII.

ALEKSANDER DUNIN RZUCHOWSKI.

CZĘŚĆ DRUGA.

POLACY.

VII.

Aleksander Dunin Rzuchowski.

Urodzony w Zatorze 1770 † w Rzymie 1793.

Umieli niegdyś u nas synowie bogatych magnatów połączyć moc charakteru i gotowość do wszystkich poświęceń dla sprawy ogółu, z wykwintnością wychowania i niepospolitém ukształceniem; przykład tych cnót i przymiotów, niestety nie często naśladowany, zostawił nam młodzieniec, który zgasł w kwiecie wieku i dotychczas nie doczekał się najmniejszego wspomnienia w dziejach rodzimego swego kraju. Wydrzyj-

my jego pamięć zapomnieniu pochłaniającemu chwalebne czyny naszych przodków; spełnijmy tę miłą powinność względem stryja naszego teścia.

Alexander Dunin Rzuchowski urodził się w roku 1770 w Zatorze, synem obywatela posiadającego wielkie dobra rozrzucone po Galicyi, w Krakowskiém, Lubelskiém, Kaliskiém, na Ukrainie, Podolu a nawet w Litwie. Zarząd tak rozproszonego majątku musiał być nieźmiernie utrudzający, podpadać łupieztwu sług; lecz stosunki ówczesne kraju przymuszały możniejszych panów do nabywania majątków w różnych odległych województwach, jużto aby mogli wywiérać wpływ na wybory w różnych częściach ojczyzny, jużto aby mogli chronić się do odleglejszych województw dla uniknienia niewoli, gdy kraj był napadanym przez najezdników; a chcąc miéć schronienie, trzeba było miéć własność.

Ojciec Aleksandra był dostojnie wyglądającym, czynnym o wziętość w kraju, ale i u dworów sąsiednich ubiegającym się obywatelem. Wychowany przez ojca w religii i cnocie, w młodych jeszcze latach wysłanym został na naukę do Paryża; później służył krajowi radą i orężem, i w nagrodę swych

zasług, w dwudziestym siódmym roku życia otrzymał dwa starostwa od Rzeczypospolitéj. Wkrótce potém ożenił się ze sławną z piękności i dostojnego rodu litwinką, panną Pilecką, wywodzącą swój ród od Pileckiego, szwagra Władysława Jagiełły. Miał z nią naprzód trzy córki, a potém w dziesięć lat po urodzeniu ostatniéj, syna. Jako szambelan przy Dworze Cesarskim w Wiedniu, starosta Rzuchowski, stracił w téj stolicy z milijon złotych polskich; widać że już wówczas próżność wygórowała w duszy magnatów polskich i była podstawą ich czynów.

Aleksander wychowywany był w domu do lat pięciu, potém go ojciec odwiózł do Warszawy umieścił wraz z siostrami na pensyi panien.

Już za młodu Rzuchowski wyjawił najlepsze skłonności: był posłusznym i lękał się zasłużyć na gniew starszych. Do ośmiu lat pozostawał na pensyi panien, a potém zapisany został przez ojca na Towarzysza Kawaleryi Narodowéj, i zastąpionym przez dziesięciu uzbrojonych kozaków w służbie Rzeczypospolitéj. Utrzymaniem ich zyskał sobie staroście prawo noszenia munduru.

Przy pałaszu i ładownicy, Alexander wychowany

dotychczas na pensyi panien, umieszczony został w szkole szlacheckiéj u księży Pijarów na zoliborzu; był to najlepszy zakład naukowy w kraju, w którym młodzież piérwszych domów się kształciła. Szkoły te wydały najpiękniejszy owoc dla Polski: prawie wszyscy, późniéj wsławieni polacy czerpali tam swe nauki. Księża Pijarzy obeznawali młodzież z krajem, oraz wpajali w nią przywiązanie do praw i sławy swych przodków.

Do lat dziesięciu Aleksander zostawał w tém zgromadzeniu i bardzo dobrze się uczył. W tym zakładzie naukowym, dla kształcenia mówców był wprowadzony zwyczaj sejmikowania. Dzieci wybiérały z pomiędzy siebie na ten sejm swych posłów i mieli prawo radzić o dobru kraju i wybierać swego króla, który potém zatwierdzał prawo przez nich ułożone.

Aleksander choć dopiéro liczył lat dziesięć, już był wybrany posłem na sejmiku szkolnym; zabawka ta tak trafnie była ułożona, że zachwycała obecnych rodziców. Sam Stanisław August, król Polski, zaszczycał swą bytnością wybory króla szkolnego, słuchał pilnie mowy tych dzieci i odjeżdżał zadowolniony z postępu młodych obroń-

ców ojczyzny. Aleksander chociaż jeszcze tak młody, silną założył oppozycyę kandydatowi, którego podano na króla szkolnego, obwiniał go o zniewieściałość i tchórzostwo z takim dowcipem i zapałem, że król Stanisław do łez wzruszony zawołał go do siebie, podał mu rękę do pocałowania, i rzekł:

—„Ucz się chłopcze, a kraj będzie miał z ciebie dobrego obrońcę.»

Nastąpiły wakacye; rodzice Aleksandra przyjechali po niego; po skończonym w ich obecności egzaminie, otrzymał nagrodę i promocyę do klassy trzeciéj. Rodzice byli z niego bardzo zadowolnieni, najwięcéj dla tego, że umiał sobie pozyskać nietylko miłość swych przełożonych, lecz także i przyjaźń swych kolegów. Ksiądz rektor pozwolił jednemu z nauczycieli towarzyszyć Aleksandrowi na wakacye, aby go przy zabawach wiejskich przygotował do nowego postępu i miał dozór nad nim, i strzegł, aby go pieszczoty rodziców nie zepsuły. Ta przezorność księdza rektora była wielkiém dobrodziejstwém dla dziecka.

Prosto z Warszawy pojechał ojciec Aleksandra

z tyle obiecującym synem do swych jeszcze żyjących rodziców.

Cóż to była za radość tych dwójga staruszków na widok tak dzielnego wnuka; a gdy zaczęli wszyscy egzaminować Aleksandra, dziadek po francuzku, ksiądz kapelan po łacinie, a babka po niemiecku, on zaś na wszystko trafnie z przytomnością i dobrą wymową odpowiadał, tak dalece się wszyscy zachwycili, że dziadek i babunia z rąk sobie wyrywali młodziutkiego Towarzysza Kawaleryi Narodowéj; dziadek mu darował prześlicznego wierzchowego konia i tysiąc czérwonych złotych na obrok, drugiego dał księdzu pijarowi a trzeciego masztalerzowi.

Aleksander tak się przywiązał do dziadka, że go podczas pobytu swego na krok nie odstąpił i nikomu nie pozwolił się uprzedzić w usłudze dla niego, i to tak dalece, że gdy ojciec ułożył przejażdżkę konną, którą bardzo lubił Aleksander, a jeżeli dziadek nie chciał lub nie mógł w niéj wziąć udziału, wtenczas żadnym sposobem nie można było Aleksandra doń nakłonić, i tak się tłómaczył: „nie długo mego szczęścia w służeniu dziaduniowi, a chwila stracona byłaby dla mnie naj-

większą przykrością.»—Jakże tu nie kochać takiego dziecka? W jedenastym roku trudno udawać, zwłaszcza przy charakterze tak otwartym i wesołym, jakie posiadał Aleksander. Nieraz też dziadka przymusił do przyjęcia jakowéj zabawy, od któréj odwykł.

Pewnego wieczora wszyscy zajęci byli tańcem; tymczasem przed domem zrobił się okropny krzyk, i dziadunio zapytał, co to tam za hałas? Aleksander, który właśnie tańczył wtenczas z siostrą, na głos dziadka rzuca się pędem do drzwi, wybiega na dziedziniec, wraca w téj chwili i mówi: „To nic dziaduniu—wieśniacy się zebrali przed dworem i patrzą przez okna; jeden na drugiego pcha się i przewala.» Lecz natychmiast kończąc to podskoczył do ojca swego i szepnął mu do ucha: „Kuchnia się pali, lecz nie mów nic o tém dziaduniowi, bo by się przestraszył.” Ojciec pobiegł na ratunek, a tymczasem Aleksander zaczął śpiewać krakowiaki, pokazywać różne sztuki, i tak dziadka więcéj niż przez dwie godziny bawił. Ogień ugaszono, tylko się dach nad kuchnią spalił. Gdy ojciec wrócił od pożaru, w ugaszeniu którego wielki miał udział, twarz jego była o-

kopcona i dymem tak przeszedł, że woń tegoż rozeszła się po całym pokoju. Ojciec Aleksandra nie chcąc przestraszyć swych rodziców, zwolna opowiedział, że to tylko dach nad kuchnią zgorzał, i że się nic więcéj nie stało. Aleksander dodał: „Dziaduniu! to dobry znak, będzie u dziadunia w tym roku wesele." Ojciec porwał go na ręce, a ściskając pochwalał w nim przytomność, i przywiązanie objawione dla dziadka. Zabawiwszy dwa tygodnie, ojciec Aleksandra pożegnał się najczuléj z rodzicami, zatoczono powozy, rzeczy upakowano i po obiedzie miano się udać w drogę do domu. Aleksander nic nie wiedział o postanowieniu ojca, zaczął się więc skwapliwie dopytywać co to wszystko miało znaczyć. Ojciec mu odpowiedział: „Mój kochany! nie można być dłużéj ciężarem dziaduniowi, ponieważ utrzymanie tylu ludzi bardzo dużo kosztuje." Aleksander prosił ojca, ażeby oddał jego tysiąc dukatów dziaduniowi, to nie będzie miał wydatków a tak dłużéj się będą mogli zabawić! Ojciec starał się o ile możności, aby go od tego zamiaru odwieść. Aleksander się rozpłakał, poszedł upaść do nóg dziadkowi i opowiedzieć mu przyczynę łez, i pro-

sić, aby chciał przyjąć te tysiąc czerwonych mówiąc: „Co mi po nich kiedy ja dziadunia nie będę widział." Dziadek uściskał go i wyjaśnił, że interessa ojca nie pozwalają dłużéj mu pozostać, że i tak wiele czasu stracił w Warszawie. „Podróż daleka dodał—„a wakacye krótkie, zatém, i powrót twój do szkoły niedługo nastąpi." Pojmował to Aleksander, lecz głęboki żal zajął jego serce.

Przez cztéry dni powozy stały przed domem; sąsiedzi zjeżdżali się na pożegnanie, jedni wyjeżdżali rano, a po śniadaniu znów któś przyjechał; więc odkładano podróż na poobiédzie, ale tu znowu któś się zjawił, dziadunio uderzył w kieliszki i trwało to przez cztéry doby. Ojciec Aleksandra przedsięwziął w nocy wyjechać potajemnie, kiedy wszyscy będą uśpieni; ale dziadek przewidział to i kazał się obudzić, a gdy mieli wsiadać do powozu przybiegł do nich w szlafroku i rzekł: Czyż to pięknie wykradać się odemnie? Héj! waza pończu! niech się na drogę zagrzeją, bo to noc zimna, a potém w imię Boże udasz się synu w drogę."

Jak zaczęli pić szklanka po szklance, a przy

każdéj z płaczem się żegnać to i dzień się zrobił.

„Dajcie kawy! zawołał stary — i obudźcie matkę, boby nie zniosła tego, żeby się z wami nie pożegnała.”

Kawę wypili, a ksiądz kapelan zaprosił na mszę.

—„Zechcecie zapewne wziąć błogosławieństwo na drogę; dobry polak nigdy tego nie odmawia.”— rzecze dziadek.

Wróciwszy z kaplicy zastali zastawione śniadanie i znowu jedli i pili; wreszcie dziadunio przeżegnał swe dzieci, Aleksandra ucałował i pobłogosławił i udali się w podróż.

Przybywszy do Krakowa stanęli w swoim domu, odwiedzili piérwszych obywateli, którzy dla uczczenia ich dawali wieczory i bale. Po dwutygodniowéj bytności, kiedy już byli na wyjezdném do domu, wszedł dawny przyjaciel ojca Aleksandra i rzekł:

„Przyszedłem zrobić wam jedną uwagę; król Pruski ma zjechać z całym dworem do Wrocławia, gdzie zgromadził 50,000 wojska na mające się tam odbyć manewra, będzie to rzecz ciekawa do widzenia, radziłbym abyście tam zjechali. Wa-

kacye już bardzo krótkie, zaczém do domu zajedziecie, zmuszeni będziecie zaraz wracać, a tu zabawicie się w Wrocławiu zkąd bliżéj do Warszawy."

Starosta Rzuchowski usłuchał rady przyjaciela i udał się do Wrocławia. Miasto to tak było napełnione przybyłemi ze wszech stron obywatelami, że drogość była nadzwyczajna, a do tego jeszcze trudniéj było o mieszkanie.

Po przybyciu króla nastąpił przegląd wojska. Starosta ubrał się w mundur jenerała polskiego a Aleksander w mundur Towarzysza Kawaleryi Narodowéj; wsiedli na koń i udali się na miejsce obrotów wojskowych. Piechota z jazdą czyniła razem obroty, kurz nie dozwalał dobrze widzieć, wszystkie zaś powozy zajęły miejsce blizko powozu królowéj. Wtém król z całą swoją świtą przyjechał koło pojazdów, a kłaniając się wszystkim przystąpił do królowéj i rozmawiał z nią. Okrzyki radośne ze wszech stron dochodziły jego uszów. Wkrótce potém król oświadczył królowéj, iż trzeba aby powozy inny kierunek wzięły; co téż zaraz uskuteczniono, a sam w przeciwną stronę z całą świtą ruszył. Aleksander nie pytając się

ojca pojechał za świtą królewską. Dobrze na koniu siedział i tak wszystkich wyprzedził, że wkrótce znalazł się blizko króla. Spostrzegłszy go król uśmiechnął się i powiedział:

„To dziecko dobrze na koniu siedzi.”

Przybywszy na miejsce gdzie artylerya miała wysadzić w powietrze zamek na ten cel wystawiony, oraz zdobyć rędutę, król zsiadł z konia a wszyscy obecni to samo uczynili. Masztalerze odebrali konie, Aleksander nie miał nikogo komuby mógł swojego powierzyć; jednak się tém nie zmieszał, a widząc że nikt na koniu nie siedzi, zsiadł, wziął cugle w rękę i znów stanął bardzo blizko króla.

Kule padały około zamku, wszyscy w to miejsce mieli uwagę zwróconą i nikt nie zważał na Aleksandra. Ale ten, gdy zamek w powietrze wysadzony został, zawołał głośno: „a to tęgo strzelają!”

Król się obejrzał a widząc tak małego towarzysza, poznał, że to polskie dziecko, i zapytał Aleksandra:

„Wie heisst er denn? Jak się nazywasz?”

Obrażony tém tykaniem Aleksander odpowiedział:

„Was geht das ihn an? (Co ci do tego?")

Król się uśmiechnął i rzekł do hrabiego Brühla:

„Das polnische Kind ist nicht haeflich, fragen Sie ihn wie er heisst? (To polskie dziecko jest niegrzeczne, zapytaj go jak się nazywa?")

Hrabia przystąpił do Aleksandra i zapytał go po polsku:

„Jak się waćpan nazywasz?" Grzecznie na to odpowiedział Aleksander, a wskazując na króla zapytał:

„Kto jest ten grubijanin, bo mówił do mnie przez *er*, a to tylko do sług się tak mówi."

Hrabia Brühl roześmiał się i powiedział, że król wszystkim mówi po imieniu!

—„To król polski daleko grzeczniejszy"—rzekł Aleksander.

Brühl poszedł do króla i z uśmiechem całą rozmowę opowiedział, dodając że zna bardzo dobrze tę rodzinę.

Król przywołał Aleksandra i podając mu rękę rzekł:

—„No! machen wir Friede junger Soldat"— (No! pogodźmy się młody żołnierzu.)

Aleksander pocałował go w rękę i śmiało odpowiedział:

—„Ja recht gern Majestaet." (Bardzo chętnie Najjaśniejszy Panie.)

Król biorąc go za ładownicę zapytał:

—„Co tam masz? cukierki zapewne?"

—„Tak—cukierki dla przyjaciół kraju, ale dla nieprzyjaciół są tam kule."

Ta śmiała odpowiedź bardzo się królowi podobała; poźniéj kazał go król odprowadzić do rodziców, zastali ich w wielkim kłopocie, nie wiedzieli bowiem gdzie im się syn podział. Aleksander tak był uradowany z powrotu do domu, że zapomniał opowiedzieć rozmowę z królem.

Gdy wszyscy wrócili do miasta, hrabia Brühl udał się do mieszkania rodziców Aleksandra, a po przywitaniu mówił do niego po imieniu. Ojciec zdziwiony zkąd hrabia zna imię jego syna i zapytał go o to z ciekawością.

Dopiéro Brühl całą rozmowę rodzicom opowiedział, dodając że Najjaśniejszy pan życzy sobie mieć ich na balu kostiumowym, dziś zaś na godzinę czwartą samego ojca zaprasza.

Godzina czwarta uderzyła, otworzyły się drzwi,

zaczęło się posłuchanie, przyszła koléj i na ojca Aleksandra, marszałek Dworu przedstawił go królowi, który rzekł:

—,,Masz jenerale ładnego i śmiałego syna, powierz mi jego wychowanie, a ja będę się starał dać mu jak najlepsze."

Chociaż ojciec Aleksandra nie potrzebował tego, jednak z największą grzecznością przyjął, i to pomimo wstrętu syna z przyrody niemców nielubiącego. Ale starosta dbał o łaskę monarchów lubił tytuły i ordery.

Nazajutrz pojechali na bal. Król z ojcem długo rozmawiał ale nie zapomniał o Aleksandrze, wziął go za rękę i przedstawił królowéj mówiąc: ,,Przedstawiam ci naszego wychowanka."

Trzeciego dnia po balu przybył hrabia Brühl do rodziców Aleksandra z rozkazu króla, i oświadczył, że nazajutrz przyjedzie po syna, aby go zabrać do Berlina.

Rozstanie się syna jedynaka z rodzicami było rozczulające, ale dla Aleksandra wola ojca była prawem, zresztą zakłady naukowe Berlińskie słynęły już wówczas na całą Europę: duch Wielkiego Fryderyka im przewodniczył. W lat ośm

przebył zaszczytnie szkołę kadetów, paziów, wyższą szkołę wojskową i fakultet filozoficzny. Na zgromadzeniu akademickiém miał mowę publiczną, którą wszystkich zadziwił do tego stopnia, że ją fakultet wydrukował i ofiarował królowi na znak wdzięczności za znalezienie tak świetnego ucznia.

Król Fryderyk Wilhelm II, lubo już wówczas Polakom bardzo nieprzychylny, umieścił go jednak w liczbie dziesięciu najzdolniejszych uczniów, którzy z uczonym hrabią Pappenheimem mieli odbyć jego kosztem podróż po zachodzie Europy. Udano się naprzód do Londynu, ztamtąd do Paryża i całéj Francyi, do Rzymu i całéj Italii.

Aleksander zapisywał wszystko co tylko zwróciło najwięcéj jego uwagę, i to wszystko w polskim języku, którego bynajmniéj nie zapominał. Wszystko go zajmowało: rękodzielnie, fabryki, machiny, marynarka, nawet więzienia, szpitale, zwyczaje krajowe, zgoła wszystko co tylko mu się przedstawiało w podróży. Hrabia Pappenheim przywiązał się doń jak do własnego syna, wszędzie mu uwagi czynił, starał się tłómaczyć mu każdy szczegół i obeznać go z jego użytkiem.

Listy polecające, które mieli, ułatwiały im zwiedzenie wszystkich zakładów i wstęp do najpiérwszych domów; a do wielu z nich hrabia Pappenheim tylko ustrojem swym czarującego Polaka śmiał wprowadzać.

W ciągu téj podróży, która trwała lat dwa, Aleksander Rzuchowski spotykał, tak niby przypadkiem, we Francyi i we Włoszech prześliczną córkę hrabiego Pappenheima, Idę.

Zawiązał się po między młodemi ludźmi stosunek miłośny, pełen powabu i szlachetności, jak z pozostałych listów zaręczyć możemy. Z przyzwoleniem ojca swojego i ojca panny, zaręczył się dwudziestoletni Aleksander z ośmnastoletnią Idą.

Wraca nasz bohatér z podróży i zostaje przywołany do króla, któremu na piśmie zdał sprawę z tego co widział.

Długo badał monarcha Pruski Aleksandra, i nareszcie go zapytał: co daléj zamyślał robić. Na co on odpowiedział, że nie będąc pełnoletnim, nie może sobą rządzić. Król się ofuknął na to słowém: „niewdzięczniku," i od téj chwili kazał rozciągnąć dozór jak najściślejszy nad krokami młodego Polaka.

Hrabia Pappenheim zapytany przez Aleksandra o przyczynę gniewu króla, rzekł: Najjaśniejszy pan życzy sobie abyś z wdzięczności za odebrane od niego wychowanie, przestał być żołnierzem polskim i został jego poddanym. — Ida zaś prawdziwie szczytna Spartańska dziewica, jakich mało pomiędzy niemkami, nie mogąc się z nim widzieć napisała do niego: „Miecz Damoklesa jest zawieszony nad twą ojczyzną, przypomnij sobie, że jesteś żołnierzem polskim, i wiedz że ja nie oddam nigdy ręki dezerterowi."

Aleksander trzymany pod ścisłym dozorem w szkole paziów w Berlinie, żadnych listów nie otrzymywał z kraju i nic nie wiedział co się w nim dzieje. Wtém niespodzianie dochodzi go wiadomość, że ojczyzna w niebezpieczeństwie wzywa swych synów na pomoc.

Nastała ta chwila, gdy po zaprowadzeniu ustawy 3-go Maja i wybuchłym oporze konfederacyi Targowickiéj, posiłkujące téj ostatniéj wojska cesarzowéj Katarzyny, wtargnęły do Polski. Dowodził wtenczas Kościuszko lewém skrzydłem wojska Ukrainskiego pod głównem naczelnictwem księcia Józefa Poniatowskiego. Gdy w skutku

niedołężności króla Stanisława Augusta, słabości sił kraju i braku potrzeb wojennych, ta wojna ciągłym tylko była odwrotém, po cofnięciu się aż do Bugu powierzone zostało Kościuszce prawe skrzydło wojska, opierające się o nowy zabór austryjacki. Wszystko, co dobrze myślało, śpieszyło pod chorągwie wsławionego w Ameryce Kościuszki.

Taką wiadomość razem z funduszem na drogę hrabianka Ida Pappenheim przesyła po kryjomu Aleksandrowi, uwięzionemu w korpusie paziów pod jakimś błahym pozorem, umyślnie, by nie zemknął do Polski.

Za pomocą kilku szlachetnie myślących kolegów, Aleksander uwalnia się z więzienia i w towarzystwie dwóch innych rodaków, Malczewskiego i Stejna, zdąża do Polski, z początku piechotą a później wózkami żydowskiemi przebrany za żydówkę.

Z nad brzegów Sprei aż do nurtów Buga daleko, jednakże nasz bohatér żadnych się nie lęka niebezpieczeństw ani trudów, i w dziesięć dni po umknięciu z Berlina staje w ziemi Hrubieszowskiéj, przebywszy kordon wojska Pruskiego, spotkawszy się z patrolami wojska austryjackiego i

rossyjskiego. Już jest pod Dubienką, gdzie stoi obozem czterotysięczny hufiec Kościuszki. Tu znajduje znajomych, którzy go poznają, witają i w tryumfie prowadzą do wodza.

—„Czego chcesz moja ładna żydóweczko?" spyta bohater zawsze waleczny i zawsze łagodny, Aleksandra, nawet w ubraniu żydówki ładnie wyglądającego.

—„Sukni męzkich i broni jenerale!" odpowie śmiejąc się paź królowéj Pruskiéj.

—„Co do czarta? sukni męzkich i broni? czy żydówka chce być naszą dziewicą Orleańską?" spyta wódź niemało zdziwiony i niedomyślający się jeszcze prawdy.

—„Wodzu! tą żydówką jest towarzysz kawaleryi narodowéj i paź królowéj Pruskiéj, starościc Aleksander Dunin Rzuchowski"—odpowie młodzieniec zdejmując swe żydowskie czółko z głowy.

Znał tę rodzinę wódź bohatérski, dobrze przyjął Aleksandra, własném się z nim podzielił ubraniem, i przekonawszy się w rozmowie o sile jego wiadomości wojskowych, zatrzymał go przy sobie jako oficera do szczególnych poruczeń.

Tu pod Dubienką, już na trzeci dzień po przy-

byciu Aleksandra, to jest dnia 18 lipca, w szańcach na prędce usypanych, hufiec polski napadnięty został przez cztery razy liczniejszego nieprzyjaciela, pod dowództwem jenerała Kochowskiego. Walka była morderczą, ale dzięki obwarowanemu położeniu i dobrze obsługiwanéj artyleryi, nieprzyjaciel cofnąć się musiał. Aleksander przy boku Kościuszki rannym został kulą karabinową lekko wprawdzie w udo, i już się okrył sławą imponując nawet starszym zimną krwią swoją.

Nazajutrz znów się rozpoczęła bitwa i trwała prawie nieprzerwanie przez dni cztery. Po długim dopiéro oporze, gdy już się oskrzydlanym widział i najlepszych swych oficerów postradał, cofnął się Kościuszko, zadawszy nieprzyjacielowi dotkliwą stratę w ludziach.

Niestety! pomiędzy ciężko rannemi polakami znajdował się także Aleksander Rzuchowski, posunięty przez Kościuszkę w trzecim dniu bitwy, po otrzymaniu piątéj rany, na półkownika; który pomimo bolu, krwi straconéj i gorączki pełnił swą służbę aż do końca, dowodząc tylną strażą, i dopiéro legł w ambulansie, gdy pogoń nieprzyjaciela ustała.

Kościuszko nie spuszczał młodego bohatéra z oka i pielęgnował go jak własnego syna, a potém udając się zagranicę poruczył go niedaleko Sandomierza, opiece jednego zacnego obywatela, który przysiągł, że będzie miał najczulsze staranie o tak ciężko rannym i młodym bohaterze. Tu dopiéro wyjęto mu trzy kule z trzech ran zaognionych i odjęto mu strzaskaną nogę. Z bohatérskiém męztwem zniósł Aleksander te ciężkie bole, lubo zaręczał, że to nie na wiele się przyda, bo źródło jego życia już zatrute. Zjechali do niego rodzice i krewni, a pomiędzy niemi, czternastoletni stryjeczny synowiec jego Kajetan Dunin Rzuchowski, który także już służył pod Kościuszką, był w ogniu i pole bitwy swą krwią zbroczył. Aleksander szczególnie się do tego młodzieńca przywiązał, i jemu to podyktował pamiętnik służący nam teraz do skréślenia tego życiorysu.

Z bolami i śmiercią się pasował młody wojownik, lecz nie przestawał zajmować się swemi pamiętnikami, bo nie chciał zejść z tego świata bez sławy i śladu. Pewnie nie przewidywał, że dopiéro w lat sześćdziesiąt sześć potém, mąż cór-

ki jego stryjecznego synowca, wynajdzie pod strychem zapomniany szpargał, i z niego z wielkim mozołem odkopie dzieje życia człowieka, który wart być znanym i pozostać nim w dziejach niepowodzeń krajowych.

—«Mam takie przeczucie, takie przekonanie, że ty mnie pomścisz, kochany Kajetanie»—mawiał Aleksander do synowca swego, i dobrym był wieszczem, bo Kajetan Dunin Rzuchowski wyszedł na dzielnego żołnierza, któremu nawet Francuzi, o naszą sławę wojenną tak zazdrośni, oddali wspaniałe pochwały w kilku historycznych dziełach, mianowicie w «Memoires contemporains sur la Pologne».

Nad wszystkie spodziewania stan Aleksandra tak się poprawił, że go można było przewieźć do Krakowa, a ztamtąd do Zatora, gdzie się urodził i gdzie pragnął umrzeć. Z pogodną twarzą czekał na zbliżającą się śmierć, lecz gdy doń zjechał niespodzianie hrabia Pappenheim ze swą piękną córką Idą, biédny młodzieniec na widok tylu wdzięków, które miały być jego własnością, zapragnął żyć i ze łzami w oczach błagał, aby

go zawieziono do Włoch i ożeniono z narzeczoną, ubóstwianą przez niego Idą.

Na wszystko przystali jego i narzeczonéj rodzice. Zawieziono Aleksandra do Włoch i ożeniono z piękną hrabianką Idą Pappenheim. Aleksander był jéj mężem, ale tylko przez dni dwa....

Spoczywa w Rzymie w kościele Świętego Aleksandra, pochowany tam dnia 3 Marca 1792 roku, obok swéj wdowy, która go tylko przeżyła o rok jeden.

VIII.

SZYMON POLK....

VIII.

Szymon Polk....

Urodzony w Wólce w Galicyi r. 1827.

Jeszcze żyje i dla tego téż wymienić nie możemy jego nazwiska, lecz pod wieloma względami, mianowicie pod względem nadzwyczaj wcześnie rozwiniętéj zdolności, wytrwałéj miłości do pracy i energii, zasługuje być pomieszczonym pomiędzy najcudowniejsze dzieci, zwłaszcza w kraju naszym, w którym bardzo rzadko przyrodzonym zdolnościom towarzyszy chęć do pracy i sprężystość w działaniu.

Sam pan Szymon P... skréśla dziwne swego życia koleje, w następujący sposób:

«Urodziłem się w Galicyi z bardzo młodéj

matki, która mnie niestety już w szóstym roku życia odumarła, i z dość podeszłego szlachcica, który podupadł na majątku i na starość gonić musiał dzierżawami, a żył jednakże mimo to tak hucznie, jak gdyby był jeszcze panem. Umarł pośród biesiady apopleksyą tknięty, i zostawił mnie ogołoconego z majątku, z blizkich krewnych i z opieki, lecz nie z wychowania, bo mnie jeszcze nieboszczka matka nauczyła pacierza, czytać i pisać, ale toć to jest i wszystko, co mi zostawiła w puściźnie, co umiałem przechować w wiecznéj pamięci, oddając się przytém namiętnie wszystkim zabawom dziecinnego wieku, mianowicie ptasznictwu, rybołóstwu i myślistwu, w czém wygórowałem do wysokiego stopnia w bardzo wczesnym wieku.

Daleki krewny matki mojéj, ksiądz pijar z Podoleńca, przybyły na pogrzeb ojca, wziął mnie z sobą do swego klasztoru i wychowywał na księdza.

Raz przykuty do nauk, które mi gorliwi księża pijarzy hojną ręką udzielali, wziąłem się do nich z całym zasobem zapału, wprzódy tylko na psoty wywieranym, i wytrwałem w nich przez

lat pięć ucząc się łaciny, madziarskiego, polskiego i niemieckiego języków, historyi, nauk przyrodzonych, fizyki, chemii i matematyki.

W szesnastym roku życia, silny na ciele i na duszy, zwinny i wesoły, złożyłem z chlubą maturitatis, i idąc więcéj za namową wujaszka jak za własném natchnieniem, zostałem klerykiem. W pół roku potém mój poczciwy wujaszek nagle zasłabł, zaniemiał, i tylko tyle miał siły, że z otworzonéj przezemnie szkatuły wydobył worek z dukatami i kopertę z pieniędzmi papiérowemi. To mi wręczył, kładąc palec na usta, jak gdyby mi nakazywał milczenie. Potém znów kazał zamknąć szkatułę i wstawić ją pod łóżko. Nareszcie spozierając na mnie gasnącém okiem, zrobił palcem znak krzyża świętego na swém czole i złożył ręce do modlitwy. Zrozumiałem i pobiegłem po pomoc duchowną. W kwadrans potém już nie żył poczciwy ksiądz, który mi tak dobrze zastąpił ojca.

Dopiéro w kilka dni potém przerachowałem mój majątek cichaczem, ostrożnie, tak jak zalecił nieboszczyk. Było tego 1500 Reńskich, monety konwencyjnéj, papiérami i 130 dukatów wę-

gierskich, a zatém razem klizko 9000 złotych polskich.

Jakże użyć tych pieniędzy?

Widząc się wolnym i bogatym zatęskniłem do życia wiejskiego, mianowicie do lubéj Wólki, w któréj się urodziłem i aż do jedenastego roku życia wychowywałem.

Nie pytając się nikogo o radę, z obawy, żeby mi nie odradzano, wróciłem na miejsce urodzenia i naprzód zaszedłem na cmentarz, na którym spoczywały zwłoki rodziców.

Boże drogi! groby ich porozwalane nie zębem czasu, ani ręką ludzką, lecz ryjem nierogacizny!

Udałem się do dzierżawcy, którego znałem, i ze łzami w oczach błagałem go, aby mi odstąpił dzierżawę mego rodzinnego gniazda.

—«Z największą ochotą mój miły księżulku, i nawet z całym inwentarzem, ale na to trzeba pieniędzy: ryba fisz, geld auf dem tisz»—odpowie szlachciura, który się wzniosł z ekonomstwa na dzierżawcę.

Załatwił się interes nawet z korzyścią dla mnie, znałem się bowiem dobrze na gospodarstwie, czyn-

ny biorąc udział w Podoleńcu w sprawach majątkowych klasztoru.

W sutannie zacząłem gospodarować z niemałém dla całego sąsiedztwa zadziwieniem, i nie zdjąłem jéj aż dobry mur stanął naokoło cmentarza i grób rodziców moich został naprawionym. Zresztą ta sukienka zjednała mi poszanowanie włościan, któregoby może bez niéj dla tak młodego pana nie byli z razu powzięli.

Gospodarowałem dobrze i nie zaniedbując wcale nauk, owszem kształcąc się w teoryi na specyalnych dziełach, i sprawdzając nowe wynalazki na małą skalę. Sąsiedzi zaczęli się o moją znajomość ubiegać, a nawet możniejsi panowie okazywali mi szacunek, zapraszali do siebie. Korzystałem z ich łaskawości ze skwapliwością umyślnie, aby sobie wyłamać maniery i poduczyć się francuzkiego języka, co mi téż późniéj na dobre wyszło.

Lat trzy ubiegło w tych zatrudnieniach: wyrosłem na sporego i jak mi sąsiadki zaręczały, na przystojnego mężczyznę. Już mi nawet proponowano kupić Wólkę, i ułatwić sobie kupno ożenieniem się z siotrzenicą właściciela, panną o kilka lat odemnie starszą. Inni znów radzili, że-

bym porzucił gospodarstwo i kończył nauki w uniwersytecie. Była to najlepsza rada i żałuję, żem za nią nie poszedł; wkrótce potém bowiem, i niestety, niezupełnie dla mnie niespodzianie, wybuchła burza na początku 1846 roku, która mnie pozbawiła prawie całkiem majątku, i mało co nie życia.

Ranny od własnych włościan, których nie ciemiężyłem, schroniłem się do Węgier, naprzód do Podoleńca a potèm do Preszowa. I tu nie byłem zabezpieczonym od wydania. W chwili naglącego niebezpieczeństwa zjawiła się niespodzianie pomoc: młoda ognista madziarka, wdowa po bogatym aptekarzu w Klauzenburgu w Siedmiogrodzie, bawiąca wówczas u swéj siostry w Preszowie, uwiozła mnie ze sobą przebranego za woźnicę do Klauzenburgu. Niewiele wiedząc jak i co, pokochałem się w téj ładnéj, miłéj, ale zbyt żywéj kobiécie, zostałem jéj mężem i właścicielem apteki w Siedmiogrodzie, nie mając jeszcze lat dziewiętnastu. Miłość jakaś bardzo nagle przemówiła do dwóch serc potrzebujących pociechy; ale czyż miałem tego żałować? moja Ferenca tak była ładną i dobrą, i uczyła się tak

pilnie po polsku, aby ze mną rozmawiać mym ojczystym językiem, przytém nie znając mnie wcale ze strony uczciwości zrobiła mnie współwłaścicielem całego swego majątku: apteki, kamienicy, pięknego folwarku i gotowizny, do dziesięciu tysięcy Reńskich wynoszącéj.

Nie chcąc być pustą lalką w méj aptece, uczyłem się od własnego prowizora farmakologii, co mi przyszło z łatwością, w szkołach bowiem i późniéj na wsi kształcąc się w agronomii, obeznałem się dobrze z naukami przyrodzonemi, z fizyką i chemiją.

Oddaję się tedy z gorliwością obowiązkom mego nowego stanu, z wielkim talentem sporządzam rozliczne jeszcze tu nieznane kosmetyki, czuwam nad gospodarstwem wiejskiém, organizuję podczas zapust bale i teatra, żyję z okoliczną szlachtą na stopie zupełnéj równości i w dziewięć miesięcy po ślubie zostaję ojcem pięknego synka. Jeszcze wówczas nie miałem lat dwudziestu!

Zdaje się, że moje szczęście było opartém na trwałych podstawach, jednakże miało przeminąć zanadto prędko i niespodzianie, właśnie kiedy

mój ukochany synek chodzić zaczynał. Zabłysły pochodnie rewolucyi we Francyi i rozniosły pożar po całéj Europie, nawet w odległy zakątek Siedmiogrodzki.

Teatr wojny przenosi się do nas: sławny jenerał artyleryi przybywa do Klauzenburga na czele hufca, w którym wielu było ziomków moich, i zakłada główną kwaterę właśnie w naszym na rynku położonym domu.

Madziarskie serce méj entuzyjastycznéj Ferency, zadrgało na widok bohatéra i ułańskich szlif mych ziomków.

—«Ach! jakby tobie pięknie było w takim mundurze!» zawołała moja żona nierozsądnym zapałem uniesiona w przytomności samego wodza.

—«Zaraz zobaczemy!» krzyknie wiara; ubiéra mnie w mundur oficerski i stawia na czele nowouformowanego hufca partyzantów, złożonego po większéj części z cyganów i innych łapserdaków. Podemną dowodził stary Muty, także cygan, osiwiały pod bronią wachmistrz. On był właściwie głową i duszą szwadronu,— a lubił wojnę zapamiętale i gotował się do niéj męcząc szwadron i mnie ciągłemi mustrami.

Już w dziesięć dni po méj nominacyi, wyruszyłem w pole ze łzawém okiem, przyznam się. Ferenca, moja własna żona, zagrzewała mnie do męztwa i pożegnała jak spartanka.

Niepokoiliśmy nieprzyjaciela gdzieśmy tylko mogli, nie stawiając mu atoli czoła. Nieraz bagaże i furaże nieprzyjacielskie wpadały nam w ręce, bo chętnie służyli nam w szpiegowaniu żebracy i cygany gdziekolwiekieśmy się udawali. W nocy ukrywaliśmy się w niedostępnych borach i kniejach i przy ogniskach, prowadząc życie prawdziwych rabusiów zjadaliśmy i przepijali wszystko cośmy złowili, osładzając sobie chwile śpiewami i rozpowiadaniem opowieści najczęściéj o królu Daryjuszu pochowanym na puszczy i o Attyli, pogrzebanym w złotéj trumnie w łonie rzeki Cisy.

Ale takie życie nie trwało długo. W wąwozie prowadzącym z Hermansztatu, tuż pod czerwoną wieżą, broniącą przejścia, gdzie bystra rzeka Aluta przebija łancuch skalisty odgradzający Wołochy od Siedmiogrodu,— tam się zaczaił nasz nieprzyjaciel z liczną artyleryją, i wziąwszy nas ze wszech stron w krzyżowy ogień, dzia-

łowy i karabinowy, tak niesłychaną rzeź sprawił, że w kilka minut z czterystu strzelców i ze stu jeźdźców, któremi dowodziłem, ledwie dziesiąta część pozostała przy życiu. Krew lała się potokiem wzdłuż wąwozu, a nurty Aluty przepełnione były umiérającymi.

Przypada do mnie Muty na skrwawionym siwku, sam w krwi broczący i zeskakując z siodła krzyczy:

«Rotmistrzu! zsiadaj z konia i za mną, bo już wszystko stracone, a żonie twéj przysiągłem, że cię bronić będę do ostatniéj kropli krwi swojéj».

«Wachmistrzu! jak tu opuszczać w takiéj potrzebie braci naszych?» odpowiem ze łzami w oczach.

Ale w tém czaszka konia mojego trafiona z boku rdzennym strzałem działowym, odskakuje w górę; koń pada, ja z nim, a wierny wachmistrz wydobywszy mnie z pod szkapy, ciągnie za sobą, także już rannego dwa razy kulą karabinową, po ścieżkach górskich i przesmykach jemu tylko wiadomych.

Każdy nasz krok był nacechowany okropną boleścią i strugami krwi naszéj, i sto razy woła-

łem: «Muty! wolę ginąć jak o jeden krok naprzód postąpić!»

Ale Muty nie dał mi upaść na odwadze i wsparty przez kilku pobratymców także uciekających, wyprowadził mnie z przeklętéj zasadzki w któréj legło w jednym kwandransie moich czterystu partyzantów.

Serbowie taką nam sprawili łaźnię.

* *
*

Przez przestrzeń kraju dwódziestokilko-milową jechaliśmy nocną porą wskróś Wołoszczyzny kryjąc się dniem w borach, górach, kniejach i zaroślach.

Dopiéro szóstego dnia stanąwszy pod Nikopolis nad brzegami Dunaju, mogliśmy odetchnąć w brudnéj chacie cygańskiéj, czyli raczéj w norze w ziemi wykopanéj.

Muty został przyjętym przez całą rodzinę cygańską jak patryjarcha, jak bożek, ale on sam obejrzawszy po raz piérwszy rany swoje, uznaje, że ich przeżyć nie można.

Mnie zaś ścigały nienawistne spojrzenia cy-

ganów, dzieci cygańskie mnie biły, a psy ich wyszczerzały na mnie zajadłe zęby.

Wpadłem w najgłębszy smutek; obraz pięknéj i młodéj żony, sprawczyni nieszczęścia mojego, stanął mi przed oczyma.

«Ach jak swawolnie igrałaś z losem męża twojego Ferenco?» wołałem zalewając się łzami, i myslałem o samobójstwie.

A stary Muty, świadek rozpaczy mojéj radził: «Jeszcze przed smiercią moją przeprawiaj się do Nikopolis, przedstaw się Baszy i przyjmuj Islamizm».

—«Nigdy—nigdy Boga mojego nie odstąpię»— odpowiadałem na te rady, i zalewajuc się rzewnemi łzami błagałem Stwórcę mojego w Trójcy Świętéj o pomoc.

Umarł Muty, a mnie wyrzucono z nory, w któréj przytułek znalazłem.

Jeszcze tego samego wieczora byłem w Nikopolis, przedstawiłem się baszy, zostałem przyjęty do służby i nazwałem się Boskar-Aga.

* * *

Kochałem Boga, ale żal mi było młodego życia, przytém spostrzegłem, że i Alkoran zawiéra bardzo wiele moralnych prawd. W jedném miejscu téj księgi stoi:—«W każdym narodzie, kto idzie za Bogiem i sprawiedliwie działa, ten mu jest przyjemnym». Więc zaraz jak tylko wyjdę z trudnego położenia, wrócę do Boga mojego, którego od dzieciństwa chwalę—«Bóg mi wybaczyć raczy!»

Zostaliśmy zaprowadzeni w głąb kraju, tak jak wielkie mocarstwa wymagały. Siedziemy w Janinie w zamku dzikim jakby z żelaza ulanym nad jeszcze dzikszém i skalistém wybrzeżem. Szorstkie wiatry przesuwają się nad całą okolicą, i potrząsają gniewliwie czarnemi sosnami i wysokiemi cyprysami rosnącemi nad grobem Sułtanki Eminy, żony sławnego ali-paszy, który się wysadził z całą twierdzą i załogą w powietrze.

Nas oficerów zamykano na noc jak więźniów w twierdzy, a wojska, któreśmy ćwiczyli, rozstawione były w miasteczku i po okolicznych wioskach.

Niedowierzano nam, chociaż już oddaliśmy się pod ich opiekę.

Pomiędzy towarzyszami naszemi byli dwaj bracia Niemcy, uczniowie uniwersytetu w Halli, nazwiskiem Keller. Oni wyrzekli się religii, chociaż byli protestantami. Ciągle dodawali sobie ducha, mawiając: «ah ba! Donnerweter! przecież tylko z pozoru jesteśmy muzułmanie! uległiśmy konieczności, nie można było zrobić inaczéj; czy to protestant ma być koniecznie mocniejszym w wierze od innych?»

Jednakże codziennie upadali na duchu i raz w twierdzy poswarzywszy się z Defterdarem baszy, wybuchli z przekleństwami na Mahometa, i krzyknęli: «Tylko Chrystus jest posłannikiem Boga i Bogiem, a Mahomet fałszywym prorokiem!»

Następującego dnia znaleźliśmy ich głowy zatknięte na hakach bramy południowéj, którą wychodziliśmy na mustrę.

I w méj duszy powstawać zaczęły straszliwe wyrzuty sumienia, i pomimo srogości kary, jaka spotkała kolegów niemieckich, nieraz byłem gotów wykrzyknąć: «Chrystus jest Bogiem! Mahomet jest fałszywym prorokiem!»

Okropne jest położenie renegata!

Jednak znaleźli się tacy pomiędzy nami, któ-

rzy korzystali z prawa mahometańskiego i zgodzili się ze swym losem.

Największe zas obrzydzenie sprawiał mi haniebny Kossoff-Aga, który mając w Galicyi miłą i bardzo ukształconą żonę, sprowadził ją do siebie, i chciał ją potém odstąpić za mizerne 30,000 piastrów, to jest za 10,000 złotych polskich, niegodziwemu baszy Janiny, zwanemu Rustem. Nie zezwoliła na ten obrzybliwy handel cnotliwa żona, użaliła się przed samym sułtanem, uzyskała sprawiedliwość, wróciła do kraju, i — jak słyszę, wstąpiła do klasztoru. (*)

* * *

W rok po mojém odstępstwie wybuchła straszliwa wojna z bitnemi czarnogórcami. Polak słynie z tego, że się bije walecznie w każdéj okoliczności; i ja także lubo do rzemiosła wojennego wcale nie zrodzony, nie mogłem jednakże

(*) Istotnie pani Helena z Lopel..... Koss.... która doświadczyła opisanego tu losu, piękną swą duszę oddała Bogu rok temu w Paryżu jako siostra Miłosierdzia w szpitalu S. Kazimierza

robić wstydu ziomkom moim, i biłem się jak lew, czyli raczéj jak człowiek rozpaczający.

Wpadłem w oko naczelnemu dowódzcy czyli Muszyrowi, który mnie posunął na Beja, to jest na półkownika, nadto obdarzył mnie brylantową dekoracyją Niszanga, i mianował swym Defterdarem, to jest adjutantem i naczelnikiem kancellaryi.

Ale wszystko to nie mogło wygładzić z serca mojego jątrzącego smutku i zgryzoty. Od dwóch lat nie wiedziałem czy żyje luba moja Ferenca i mój miły synek; znieść się z niemi pomimo najszczerszych chęci i najusilniejszych starań nie mogłem, nasze listy przepadały na poczcie, prywatnych okazyi niemieliśmy...

Smutek mój ukrywać musiałem; Turcy bowiem, lubo sami z przyrody ponurzy, nie lubią Słowian kiedy są smutnemi. Tutejsze przysłowie mówi, że Słowianin, gdy jest smutnym myśli o ucieczce, albo o samobójstwie.

Nareszcie dzięki niesłychanym wysileniom i taktycznemu postępowaniu, zdołałem odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia i przekonać swych zwierzchników o wierności, Muszyr tak dalece

mi zawierzał, że mnie wziął ze sobą pokryjomu do Konstantynopola i przedstawił Nurredin-Bejowi, piérwszemu tłómaczowi wysokiéj Porty.

Ten dygnitarz szczególną powziął ku mnie sympatyję, i prosił mnie, abym mu opowiedział bieg całego mego życia. Opowiedziałem mu wszystko, tylko zamilczałem, żem w Klauzenburgu zostawił żonę i dziecko, i że tęsknię do nich i do ojczyzny.

— «Więc uciekłeś i z Seminaryum i z kraju?» spyta Nurredin-Bej z rozjaśnioną twarzą niezmiernie ucieszony z tego com mu opowiedział— «Nie musiało ci tam być dobrze?»

— «Tak jest—niestety!» odpowiedziałem i zdobyłem się na obłudne oświadczenie, że mi dopiéro w Turcyi słońce szczęścia zaświeciło.

Już mówiłem tak dobrze po turecku, że mnie brano nawet za Turka.

Innym razem Nurredin-Bej zapytał mnie czy się nie myślę żenić, że mógłby mi odstąpić ze trzy lub cztery niewolnice za bardzo tanie pieniądze.

Odpowiedziałem mu na to szczerze, że wolałbym się żenić tylko z jedną, ale z taką coby

mi przyniosła pieniądze i była ładną, dobrze wychowaną dziewicą.

— «Cha! cha! cha! niezły masz gust Effendy!» zawoła Nurredin-Béj, «ale poczekaj, i to się zrobić może bylebyś nas polubił tak jakeśmy ciebie polubili: ja sam gotówbym ci dać za żonę jednę z mych córek, których mam czterdzieści siedm jeszcze niezamężnych; a mam taką coby strasznie pragnęła być jedyną żoną przystojnego, młodego i zacnego męża; powiadam ci Effendy to cudo piękności, godna samego Mahometa. Ale na to trzeba, żebyś nam jakie wielkie wyświadczył usługi, żebyś samemu Padiszachowi wpadł w oko i od niego dostał wyposażenie, bo ja sam posagu dać nie mogę, zbyt wiele mam córek. Postaramy się dla ciebie o jaką ważną missyję.»

Późniéj udałem się z Muszyrem do Adryanopola, i tam, niemając nic lepszego do roboty, zatrudniałem się ułożeniem grammatyki polsko-tureckiéj, która istotnie potem wyszła na świat.

Wkrótce potém znów mnie przywołał Nurredin-Béj do Konstantynopola i spytał mnie czybym się nie podjął jechać jako *aptekarz* do Rzymu,

i tam zakupić materyjały apteczne dla samego dworu Sułtana.

O mało co nie wyskoczyłem aż do sufitu z radości na to pytanie, ale obawiając się jakiéj zasadzki ze strony chytrego Turka, odpowiedziałem:

—«Za nic w świecie nie pojadę w roli aptekarza i po lekarstwa; to nie jest zgodném z mą godnością Beja i ozdobą Niszang-Iftiszara, czyli dyamentowego pół księżyca, którą mam zaszczyt nosić na szyi».

Trudno sobie wyobrazić radość Nurredina na tę odpowiedź, zagadł mnie jednakże pytaniem:

—«Przecieżeś kiedyś był, zacny Effendy, aptekarzem w Siedmiogrodzie?»

—«Co komu do tego czém byłem w kraju niewiernych? teraz jestem Bejem i mogę zostać baszą za rok, jeśli Padiszach raczy spojrzéć łaskawie źrenicą na swego sługę i poddanego».

—«Podoba mi się twoja duma Effendy»—rzecze Nurredin—«jest ona wymowną oznaką twego szczerego nawrócenia się, bo Giaur byłby zaraz bez wahania się przyjął to posłannictwo. Ale cię Padiszach o to *prosi*».

—«Nie pojadę».

— «Ale ci *rozkazuje* pojechać».

— «Więc jadę choćby do piekła» — odpowiem składając ręce na piersi i kłaniając się trzy razy aż do ziemi.

— «Otóż tak dobrze, jesteś prawym synem Mahometa. Słuchaj, teraz ci otworzę całe moje serce: jedziesz tylko na pozór jako aptekarz chrześcijánin, protestant i niemiec, do Rzymu wrzekomo po lekarstwa, które tam zakupić musisz dla zamydlenia szpiegom oczu; — ale w istocie zaszczycony jesteś wysokiém posłannictwem dyplomatyczném do kardynała Antonellego. Liczę na ciebie jak na najwierniejszego sługę; dałeś nam tyle dowodów waleczności, dobréj woli i zaufania, że o twéj wierności już nie wątpię. Jednakże uprzedzić cię muszę, że nad twemi krokami w Rzymie czuwać będą nasi nieznani ci ajenci, których mamy tam dużo. Spraw się dobrze a za powrótem zostaniesz bimbaszą, mym zięciem i małżonkiem najpiękniejszéj córki mojéj Kara-Zorainy, czyli czarnéj zorzy».

Dostałem instrukcyje, ale pieniędzmi wyposażono mnie skąpo; w Rzymie miałem odebrać

więcéj od bankiera greckiego, któremu mnie polecono.

* *
*

Jestem w Rzymie i pełnię tu mą drażliwą missyję uchodząc za niemieckiego aptekarza, który zostaje pod protekcyją dworu Hanowerskiego. Postępuję z ostróżnością człowieka, który pośród bisurmanów nauczył się czuwać nad słowami i czynami swojemi. Mam stosunki częste, ale tajemne z najdostojniejszemi dyplomatami. Dzięki cierpliwości nabytéj w szkole pijarów, taktowi zyskanemu w częstych nieszczęściach i w stosunkach z wysokiemi dygnitarzami, ułatwiam interessa Wysokiéj Porty w sposób dla niéj dogodny, przesyłając codziennie depeszę przez ręce bankiera greckiego, który mi także codziennie wydziela skąpą ręką potrzebne mi na życie pieniądze. Wszystkie kosztowności jakie posiadałem musiałem pozostawić w Stambule, nawet brylantową ozdobę. Jeszcze mi nie dowierzał bisurman pomimo krwi wylanéj w jego obronie: więcéj dowierzał Anglikom i Niemcom, którzy się nie wyrzekli religii!!

Ale nie śmiałem przestąpić świętych progów kościoła, w którym się rodziłem i z którego się potém samowolnie wygnałem; zawsze mnie zatrzymywała w progu obawa ściągnięcia na się najboleśniejszych prześladowań, a może i sromotnéj śmierci.

Na litość Boga, którego obraziłem, liczyłem wprawdzie w gruncie serca, i nigdy gorętszych modłów przed jego święty tron nie zasyłałem jak od chwili renegacyi mojéj. Wiedziałem, że mnie nie zgruchocze gniéw jego święty, ale — lękałem się oczu, które jak mi zapowiedział basza, będą czuwać wszędzie i zawsze nad postępowaniem mojém, a mnóstwo greków bawiących wówczas w Rzymie aż nadto usprawiedliwiało obawy moje.

Jednakże jednego wieczoru—słysząc śpiéw religijny w kościele najbliższym mieszkania mojego, przywdziałem perukę czarną na krótko ostrzyżone dość jasne włosy moje, poczerniłem wąsy, przywdziałem ciemne okulary i otulony w angielski mekintosz zaszedłem do świątyni Pańskiéj w któréj odprawiały się właśnie uroczyste nieszpory w wiliję odpustu.

Kościół był dość jasno oświeconym: po okazałych jego przestworach rozbijały się wzniosłe akordy organów, i śpiewu męzkiego najczystsze i najgłębsze wibracyje.

Owładnięty wzruszeniem, szukałem najciemniejszego miejsca, i tam ze łzami w oczach i miotany konwulsyjnemi łkaniami, padłem na kolana, i w rodowitym języku żebrałem miłosierdzia dla siebie niegodnego człowieka, który się niegdyś sposobił na bezpośredniego sługę Boga.

Nie wiedziałem, że miałem świadka wzruszenia mojego, ukrytego opodal w spowiednicy, i zdaje się rozumiejącego język, którym się w gorącém rozrzewnieniu za nadto głośno modliłem.

Gdym wychodził z kościoła, pomimo pogrążenia w dumaniach, zdawało mi się jednakże, że cóś czarnego za mną poza filarami wysuwało się; jak gdyby mnie śledzić chciało.

Ale wzruszenie moje przeważyło nad wszystkie względy, i w téj chwili nie pozwoliło mi zwracać uwagi na żadne środki ostróżności. Powróciłem do hotelu, i wchodząc w bramę widziałem jeszcze, że za mną, o jakie piętnaście kroków, mignęło się

cóś czarnego, niby do małego księdza, niby do wysokiéj kobiéty podobnego.

Kilka razy spotkałem to szpiegujące, ze płci mi nieznane widmo, tu i ówdzie wieczorem: byłem pewnym, że to jakiś ajent wysokiéj Porty i miałem się na ostróżności.

Już moje interessa pokończyłem w Rzymie i mam wracać do Stambułu, nie odebrawszy od żony odpowiedzi na pisane doń z Rzymu listy; gdy mnie dochodzi rozkaz od Nurredin-Beja, abym bez zwłoki połączył się w Dreźnie z Namikiem Paszą, ministrem handlu wysokiéj Porty, i udał się z nim razem w charakterze prywatnego sekretarza do Paryża. Bankier grecki wręczył mi tyle pieniędzy ile niezbędnie potrzeba było na daleką podróż z Rzymu do Drezna.

Puszczam się zatém w podróż przez Liwurnę, Modenę, Mantuę, Vincencę do Szwajcaryi, i w każdém z tych miast bawię po dniu lub dwa, i według podanych mi instrukcyj zbiéram w nich wiadomości o przeszłém życiu wielu tamże urodzonych renegatów, pozostających obecnie w służbie tureckiéj. Włoch jest niezmiernie skłonny do zbisurmanienia się, a najskłonniejszy Rzymia-

nin, ale im Turcy jeszcze mniéj wierzą jak innym renegatom.

Jeziorem Lago Maggiore dopływam do Belinzony, piérwszego szwajcarskiego miasta ze strony Piemontu.

Bawię tu dzień jeden i jadę daléj dyliżansem, w którym siedziały dwie siostry miłosierdzia średniego wieku, oczewiście włoszki, daléj jakiś księżyna z czarnemi małemi i żgającemi ślipkami, z czołem jakoś dziwnie uciekającem, także zdaje się włoch; następnie jakiś jegomość średniego wieku z czerwoną mięsistą twarzą i burczącą miną, wyglądający na dymisyonowanego oficera austryjackiego, nareszcie jego sługa Słowak, odpowiadający na nazwę Janko.

Nie bardzo mi się chciało wchodzić w rozmowę z nieźmiernie gadatliwym księdzem, bawiącym całe towarzystwo opowiadaniem jakichś figlów, od których Niemiec pękał ze śmiechu; pomimo więc znacznego zimna zająłem miejsce wolne na wierzchu dyliżansu.

Jedziemy tedy, ale wolno, tak jak się podróżuje w górzystéj Szwajcaryi. Pniemy się ku źródłom czarującego Ticina; już przebywamy Airolo,

już wstępujemy na stopy góry Świętego Gotarda, i po spadzistych na dziewięć piątr połamanych drogach, zdążamy na szczyt, gdzie owe sławne na świat cały, *hospicium*.

Z każdym krokiem większe zimno, wyraźniejsza dzikość, straszliwsza pustynia i okropniejszy chaos.

Jesteśmy nareszcie pode drzwiami staréj gościny Gotarda, ogromny to, do zamku podobny gmach, zawierający w sobie kaplicę, pokoje gościnne, a nawet w owéj chwili szpital dla charłaków, którym potrzeba do wyleczenia powietrza sfery wynioślejszéj.

Nasze Siostry miłosierdzia miały tu pozostać i zluzować dwie inne Siostry zatrudnione w szpitalu. Poszły naprzód do kaplicy, podziękować Bogu za szczęśliwie odbytą podróż; i ja także na tajemne skinienie starszéj z tych Siostr, wstąpiłem do kaplicy.

Ukląkłem i modliłem się z rzewnością.

Siostra, która mi dała znak oglądając się za sobą czy księżyna nie przybiegł za nami, i widząc, że razem z Niemcem poszedł się posilić, przystępuje do mnie i wręcz mi mówi:

—«Pan jesteś Galicyjaninem, biłeś się w Węgrzech, służysz teraz Turkowi i jesteś muzułmanem. Mów prawdę: wolność a może i życie twoje od tego zawisło».

—«Tak niestety! wszystko to prawda!» odrzekłem z westchnieniem i przerażony aż do szpiku kości.

—«Tak niestety!» powtarza Siostra ze łzami w oczach i żegnając się. «Ale w nadziei, że pan wrócisz kiedyś do dawnéj wiary, chcę panu ważną oddać przysługę. Ów ksiądz włoski, który podróżuje z nami, zdaje się, że nie jest księdzem, ani nawet włochem, tylko za włoskiego Abbate przebranym żydem. Rozmawiał wiele o tobie po niemiecku z tym Niemcem. On wié, kto pan jesteś, widział pana w Rzymie w kościele modlącego się z rozpaczliwą rzewnością po polsku, i odtąd nie spuszczał cię z oka, poszedł w pogoń za tobą dowiedziawszy się, żeś pokryjomu wyjechał, i byłby cię już w Lombardyi na gruncie austryjackim aresztował, bo wziął sobie tego Niemca, który jest urzędnikiem austryjackim, i łapacza udającego się za sługę jego, lecz cię dognać nie mógł w Lombardyi. Ale teraz skoro

tylko w przejeździe do Drezna, staniesz na gruncie austryjackim w Tyrolu, natychmiast będziesz aresztowanym i sądzonym z przykładną surowością, a zatém zapewnie na śmierć zostaniesz skazanym. Teraz korzystaj z rady mojéj o nieszczęsny i zbłąkany ziomku, i umykaj im przy pierwszéj sposobności.»

— «Nie mogę,— Turcy pozostawili mnie umyślnie bez funduszów, żebym się im nie przeniewierzył,» odpowiem zgrzytając ze złości zębami.

— «Ach cóż za okropne położenie nie mieć wiary u tych, dla których się Boga odstąpiło!» rzekła Siostra, wstrząśnięta dreszczem wzgardy i politowania, lecz natychmiast głęboko westchnąwszy do Boga i spojrzawszy na mnie ze spółczuciem dodała:

— «Ratować cię muszę, bo jesteś moim rodakiem i może na to wybranym przez Pana Jezusa, abyś światu dowiódł, że nie można służyć ojczyźnie skutecznie pod innym znakiem jak tylko pod krzyżem. Ratować cię muszę nawet pieniędzmi, które nie są moje i należą do ubogich. W tym woreczku jest czterdzieści dukatów, to ci wystarczy na drogę do Paryża, tam się udaj do

księdza Albina w szpitalu Świętego Kazimierza, on cię pogodzi z Bogiem i z Kościołem. Bądź zdrów, łaska Najwyższego niech czuwa nad tobą.

— «Twoje imię i nazwisko Pani?» spytam padając na kolana.

— «Siostra Prakseda» — odpowie Zakonnica i wchodzi do zakrystyi.

* *
*

«Co tu robić?» były piérwsze wyrazy moje, ale piérwszym czynem było wsiąść do dyliżansu, który właśnie zajechał. Chciałem się zblizka przypatrzéć moim łaskawym zdrajcom.

— «Dobrze pan robisz, że dłużéj nie wystawiasz na szwank szanownego zdrowia swojego,— a tu diable zimno Corpo di Bacco! na tych górach — rzecze po włosku ksiądz Minetti, bo tak się nazywał, czy też takie przybrał nazwisko.

Nie byłem bardzo biegłym w języku włoskim, ale to poznałem od razu, że ksiądz jakoś cokolwiek gardłowo nim przemawia, i odpowiedziałem z twardo-niemiecka po włosku:

—«Jestem synem północnéj Germanii, a zatém przywykłym do zimna»—i uciąłem.

Niemiec, który się mianował Baronem Bornsted, rzekł:

—«Widać że pana odstraszyły te stare zakatarzone i zaspałe zakonnice. Żaden dobry żołnierz nie lubi zakonnic, a pan jakoś wygląda na żołnierza lubo wąsów nie nosisz».

—«Dziękuję za komplement, ale jestem po prostu komiwojażerem w przedmiocie artykułów aptecznych».

Mniemany Baron rzucił na mnie badawcze spojrzenie, a potém zerknął na księdza z boku ślepiem, jak gdyby go chciał wyzwać do dalszego egzaminu.

Minetti znów rozpoczął tropienie, i z wielką znajomością rzeczy zaczął gadać o chinie, rhubarbarum, kremortartary i sassafrasie.

Pochwyciłem rozmowę z wielkim zapałem jak ryba obracająca się w swoim żywiole.

—«Ale że ksiądz dobrodziéj zna się tak dobrze na lekach, to mnie zadziwia?»

—«Sprawowałem kiedyś obowiązki aptekarza przy zakładzie Bonifratrów»—odpowie ksiądz niby niedbale.

Bardzo wiele rozmawiałem z księdzem znającym się tak bardzo na lekach. Ale Minetti za wiele sobie zaufał: wcale nie umiał tak dobrze zataić w sobie żyda jak mniemał, zresztą my Polacy, pozostający od urodzenia w blizkich stycznościach z miłym rodem Abrahama, szczególny mamy węch na żyda i w dwunastém pokoleniu zwietrzémy krew żydowską. Nie było już dla mnie niepewném pochodzenie pana Minetti, ale pragnąłem wiedziéć jakim zbiegiém okoliczności żyd polski mógł zostać w Rzymie księdzem, bo że był księdzem o tém świadczyły nietylko tonzura i brewiarz, lecz owe wyrobione potulno-imponujące ruchy, które znamionują zwolenników Lojoli.

Im więcéj rozmawiałem o medycynie i o lekach, tem więcéj mniemany Baron Bornsted wyglądał na człowieka zafrasowanego, któremu zdobycz uciekła, lub który wywiedzionym został w pole. Już było dla mnie oczywistém, że niedowierzał oskarżeniom Minettego, także tylko na złą grę, dobrą miną nadrabiającego: jednakże chytry jak lis żydowsko-włoski Jezuita, każdém do mnie zwracaném pytaniem stawiał mi sidła i

kopał podemną dołki, zapewniając tłustego Niemca ukośnemi spojrzeniami; że się nie myli.

Taka wojna chytrości, podstępu izdrady, trwała godzin kilka; mówiono umyślnie kilkoma językami, żeby mnie wymiarkować. Nie przyznawałem się do znajomości innego języka jak tylko do niemieckiego, wypytywałem się Niemca ze skwapliwością, w którym zajeździe najlepiéj i najtaniéj w Dreźnie, a tymczasem przemyśliwałem nad sposobami wydostania się jak najnieznaczniéj z towarzystwa tych ludzi sprzysięgłych na moją zgubę. Nie chciałem bowiem z niemi zrywać wyraźnie, bojąc się, żeby ksiądz korzystając ze swéj sukienki i z fanatyzmu ciemnego ludu Szwajcaryi Katolickiéj, pomiędzy którym podróżowaliśmy, nie zrobił mi jakiego hałasu i nie wykrzykiwał: «Oto renegat, który wyparł się Chrystusa i przystał do Mahometa! przekleństwo na niego!» Na takie słowa piérwszy lepszy Szwajcar gotówby mi roztrzaskać głowę.

Ale nareszcie w nadziei, że Bóg łaskawy raczy mi podać sposobność wybrnięcia z fatalnego położenia, zasnąłem i resztę nocy przepędziłem z memi wrogami jak Daniel pomiędzy lwami.

Nazajutrz dla orzeźwienia się w świéżém powietrzu, wróciłem na wiérzch dyliżansu.

Wjeżdżamy pomiędzy labirynt wysokich gór, już po części śniegiem pokrytych. Pod naszemi stopami zaś, pod drogami wijącemi się gzygzakiem po ścianie tych gór, grożą niezgruntowane otchłanie. Już jesteśmy w Kantonie Ury, krainie straszliwych cudów przyrody, i bardzo blizko miasta Altorf, stolicy tego Kantonu. Straszliwa burza powstaje; przed nami i za nami lawiny staczają się z nieopisanym łoskotem w przepaście, każdéj chwili i my możemy być strąceni lawiną i zepchnięci w przepaść. Przewidywałem, że cóś podobnego może nastąpić, i gdy się nagle zaciemniło na niebie i cóś zahuczało wysoko nad naszymi głowami, zeskoczyłem z wiérzchu dyliżansu na kupę śniegu i schroniłem się pod wystającą skałę.

W tejże saméj chwili z przerażającym łoskotem pada lawina na dyliżans, porywa go z sobą i zrzuca w otchłań, przynajmniéj czterysta stóp głęboką. Nikt nie uszedł śmierci, tylko ja i pocztylijon, który także miał czas skoczyć z kozła: cztery konie zbiły się w jedną miazgę na dnie

otchłani, ale ta massa drgała przeraźliwie; co ludzie robili i czy od razu zginęli, tegośmy nie mogli wiedzieć, bo dyliżans padł w śnieg i zakopał się w nim.

Pobiegliśmy do Altorf, gdzie uprosiłem pomoc dla nieszczęsnych towarzyszów podróży. Z kilkudziesięciu obywateli wyruszyło z drągami, linami i drabinami.

W godzinę potém przyniesiono na noszach Niemca i Słowaka zgruchotanych na miazgę, a księdza ze złamaną nogą i ręką lecz żyjącego i w niebogłosy lamentującego z niemiecka po żydowsku.

Udzielono mu wszelką pomoc: sam pomagałem lekarzowi przykładać bandaż.

Dowiedziałem się nazajutrz, że ten człowiek istotnie był niemieckim żydem, który długi czas w Polsce bawił, że na przód został protestantem, potém katolikiem i—księdzem. Zwał się Ludike a nie Minetti. A tak Pan Bóg okropną wymierzył sprawiedliwość na moich prześladowców.

Wypełniwszy powinność ludzkości względem bliźniego mego, puściłem się jeziorem czterech kantonów do Lucerny, a ztamtąd na Bazyleę do

Paryża, gdzie nie tracąc chwili czasu wyszukałem księdza Albina i całe mu serce otworzyłem.

—«Widać że ci Pan Bóg przebacza mój kochany ziomku, kiedy dla ocalenia ciebie łamie twym prześladowcom karki i nogi»—odpowie dobry ksiądz Albin, i udziela mi rozgrzészenie nakazujac mi pokutę, któréj się szczerém sercem poddałem.

Tymczasem Namik-Pasza nie mogąc mnie się doczekać w Dreźnie, rusza w dalszą drogę i przybywa do Paryża. Uwiadamiam go listem bezimiennym szczegółowo o wszystkiém co się wydarzyło w ciągu méj podróży z Rzymu ku Dreznowi, o niebezpieczeństwie, w jakie mnie wtrąciła nieufność Turków, którym tak wiernie służyłem i wykazałem, że tylko szczególnéj łasce Boga zawdzięczam ocalenie. Zrobiłem go spadkobiercą orderu i kosztowności, które wyjeżdżając ze Stambułu musiałem pozostawić u Nurredina-Beja, prosząc, aby ich wartość użył na dobro ubogich, w Turcyi pozostających, mych ziomków.

Potém oczekiwałem odpowiedzi na list napisany do Klauzenburga (Kolosvar) do żony, a przesłany tamże przez księdza Albina drogą ducho-

wną — tymczasem i jednéj nie tracąc chwili zapisałem się na wydział lekarski, i zapomniawszy méj godności Beja, poświęciłem się ostatecznie uldze cierpiącéj ludzkości i to z rzeźwością umysłu, który w żadném położeniu rzeczy nie oddawał się próżniactwu.

We trzy tygodnie nadeszła odpowiedź z Klauzenburgu. Moja żona mniemała się być wdową już od lat trzech: żaden z listów pisanych do niéj z Turcyi nie doszedł. Siebie samą obwiniając o przyczynę mego nieszczęścia, płakała ciągle, i już miała z żalu umiérać, gdy mój list nadszedł i wyrwał ją z odmętu zmartwień i wyrzutów. Syn mój już jest czteroletnim zdrowym i wesołym chłopakiem. Poczciwa Ferenca przyłączyła do listu weksel na znaczną kwotę pieniędzy i zapowiedziała swe przybycie skoro tylko sprzeda aptekę, dom i folwark.

W kilka miesięcy potém dotrzymała słowa: dzień mego połączenia się z żoną i synem, był najpiękniejszym życia mojego i wyznać to muszę, piękniejszym od dnia ślubu, kiedym jako dziewiętnastoletni młodzieniec żenił się z młodszą o rok i prawie dziecinną jeszcze wdową.

Prosto z dworca kolei żelaznéj zaszliśmy nie do domu lecz do kościoła, w którym na nas czekał ksiądz Albin i grono rodaków powitać nas chcące.

Żadne pióro nie zdoła opisać naszego wzruszenia, gdy nas ksiądz błogosławił imieniem Boga, który nas przeprowadził przez tak srogie koleje losu nietkniętemi i połączył choć na obcéj ziemi.

Całkiem oddany szczęściu domowemu, nie zaniedbałem jednakże mych nauk, i w cztery lata po zapisaniu się na wydział lekarski zostałem doktorem medycyny, właśnie gdym kończył rok dwudziesty siódmy życia.

Nareszcie zatęskniłem do rodzinnego kraju, mianowicie do Wólki.

Powracam, aby ją kupić i przekonać się jeszcze raz jeden, czy dobry przykład z góry nie wywrze wpływu zbawiennego na nasz lud tak nieufny i dotychczas niewdzięczny.

Poświęciłem wszelką nienawiść i zrazić się nie dam żadną niewdzięcznością; wytrwam w pracy aż do końca i synowi memu powtarzać będę codziennie, że Chrzest jest najważniejszym sakra-

mentem, odstąpienie zaś od Boga największą hańbą i zbrodnią.

Już jestem w Wólce: dzięki wspaniałamyślności ukochanego Monarchy umiejącego wybaczać swym poddanym. Po raz drugi wznoszę mur około cmentarza i naprawiam groby mych rodziców.

Przytém zakładam szkółkę dla młodych, a szpital dla chorych i starych wieśniaków: szkółkę i szpital utrzymywać będę owocem méj pracy lekarskiéj.

Bóg raczy wspiérać szczerze nawróconego Chrześcijanina, któremu wybaczył zachwianie się w wierze.

IX.

WANDA MALIŃSKA.

IX.

Wanda Malińska.

Urodziła się w roku 1830 w Kaliszu.

Młoda Wanda w dziecińtwie utraciła matkę; w wieku, w którym nie miała jeszcze pojęcia o stracie, została wychowana przez mamkę pod najczulszym dozorem ojca, który kształcąc jéj umysł, rozwijał najszlachetniejsze uczucia w jéj sercu.

Ten ojciec w chwili, gdy został wdowcem miał lat 22, i był tułaczem na obcéj ziemi; lecz wychowany na swojéj, przez matkę wdowę, godną matronę polską, w najczulszych i najwznioślejszych uczuciach religii, tak wychowywał cór-

kę, jak sam był wychowanym. W czwartym roku życia Wandzia nie mogła usnąć nie zmówiwszy wprzódy z ojcem swym pacierza, i nawet kiedy słabą była, domagała się aby ojciec posadził ją na kolana i z nią się pomodlił do Boga, który daje życie i zdrowie i wszystko co jest dobrém. Jeśli przez nieuwagę w ciągu dnia obraziła kogo, albo jaki błąd popełniła, najusilniéj i najczuléj przepraszała za uchybienie i nie odeszła dopokąd nie uzyskała przebaczenia. Wandzia nigdy nie zjadła sama łakoci przyniesionych przez ojca, ale się niemi by najmniejszym kawałkiem dzieliła z siérotą, którą dla jéj towarzystwa ojciec przyjął do domu; a jeśli pieniądz jaki dostała, za największe poczytywała sobie szczęście, kiedy nim mogła obdarzyć biédnego.

Ojciec niegdyś bogaty, a teraz sam pracując na swe utrzymanie dość mozolnie, wszelkiemi sposobami starał się nagrodzić dobre przymioty i pilność w przykładaniu się do nauki Wandzi.

Pewnego dnia chcąc jéj nagrodzić za list napisany gładko i ozdobnie, kupił jéj piękny złoty krzyżyk wysadzony drogiemi kamieniami. Na widok tego klejnotu Wandzia z początku zdawała

się bardzo ucieszona i tysiąc składała najczulszych podziękowań ojcu. Nie mogła się nim nacieszyć, po tysiąc razy oglądała, i nareszcie zapytała się ojca o cenę tego klejnotu. Ojciec wymienił jéj cenę, która była bardzo wielka jak na ówczesne położenie jego.

—«O mój Boże! tak drogi!«— zawołała siedmioletnia Wanda: «Pamiętasz mój ojcze, cóś mi tak często powtarzał, że prawdziwe płci naszéj ozdoby, nie na marnych błyskotkach zależą, ale na talentach, skromności i prostocie. Wybacz mi najdroższy ojcze, lecz tego krzyżyka przyjąć nie mogę żadnym sposobem i zwracam ci go napowrót; nie powinnam bowiem nosić na sobie klejnotu, który mogę uszkodzić, albo zgubić w jednéj chwili, a którego cena, na wyżywienie kilku uczciwych kolegów twoich przez miesiąc cały wystarczy.”

Ojciec wzdragał się przyjąć na powrót darowiznę.

—«Więc o to cię”—rzecze Wanda—«błagam mój ojcze, ażebym go mogła sprzedać, i zyskane za to pieniądze mogła rozdać biédnym.”

Młody ojciec uniesiony radością, widząc tyle

w swéj córce rozumu i ludzkości, uściskał z rozczuleniem swe dziecko i zawołał:

—«Jakże jestem szczęśliwym, że cię mogę nazywać mą córką! któżby szlachetnego czynu twego nie podziwiał? niepodobną jest rzeczą lepiéj korzystać z odebranego wychowania. Uważniejsza od twego ojca, umiałaś się przejąć do głębi serca radami mojemi wtenczas, kiedy ja na udzielaniu onych przestawałem. O wielka to jest prawda, że zbytek i błyszczące ozdoby najczęściéj przynoszą upadek i gorzkie zmartwienia. Jutro ci dam cenę tego klejnotu, rozporządzaj nią wedle własnego upodobania. Tak Wandziu! przyzwyczajaj się do życia umiarkowanego, abyś w razie przeciwności umiała godnie wytrwać w złym losie."

* * *

Miła Wandzia również w piękność jak w cnoty i talenta wzrastała, i tak się szybko rozwinęła pod ciepłém niebem południowéj Francyi, że w trzynastym roku życia swego była panną świetniejącą wzrostem i urodą ponad wszystkie rówienniczki. Ojciec, który dla niéj pozostał

wdowcem i w kwiecie wieku odmawiał sobie wszystkich zachwyceń młodości, pysznił się tą córką i był pewny, że uszczęśliwi człowieka, dla którego ją niebo przeznaczy.

Prefekt departamentu, w którym mieszkał Karol Maliński, zachwycony pięknością i przymiotami młodéj Polki, wręcz oświadczył, że ją sobie życzy za synowę, za żonę jedynego syna, przystojnego młodziana, który w dwódziestym trzecim roku zdobył sobie stopień Kapitana w inżynieryi i krzyż Legii honorowéj.

Wanda miała wówczas lat cztérnaście, jéj ojciec starszym był tylko o lat dwadzieścia i obok wysmukłéj, zupełnie uformowanéj Wandy wyglądał jak jéj brat, tylko o lat dziesięć starszy.

Kapitan Wiktor Rouvigny umiał pozyskać szacunek i przyjaźń rodaka naszego, i bez natręctwa, lecz z czujną usilnością, starał się o pozyskanie miłości jego córki.

Lecz Wanda nie wiedziała do czego zmierza młody, już sławą bohatérską świetniejący kapitan, lub też może udawała, że nie wié, bo jéj rozum sięgał daleko, i musiało jéj być wiado-

mém, że ojciec, zezwalając na ubiegania się młodego kapitana, miał na celu jéj zamęczżie.

Nareszcie ojciec widząc, że jéj serce nie przemawia, wyjawił Wandzie dla czego Wiktor uczęszcza codziennie do jego domu i urlop swój już dwa razy przeciągnął.

—«On ciebie kocha Wandziu, on, na którego wszystkie najbogatsze panny departamentu z pożądliwém uniesieniem spoglądają, on ciebie nad wszystkie przekłada, i dla twojéj piękności i przymiotów pragnie się żenić z biédną córką tułacza. Czyż nie wzruszył serca twojego, o moja Wandziu? Ileż to dobrego będziemy mogli świadczyć ziomkom naszym, jeśli ty zostaniesz synową takiego dygnitarza jak pan prefekt?

—«Więc nią zostanę, mój ojcze,"— powié Wanda ze łzami w oczach i blednąc ze wzruszenia,— «więc nią zostanę, lubo mi tak dobrze u ciebie, i lubom tak jeszcze młoda, Ach! gdybyś mi pozwolił pozostać w domu chociaż jeszcze rok jeden, mój ojcze!"

Wanda złożyła ręce jak do pacierza i łzawém okiem błagała ojca; jéj lica zbladły jak alabaster, jéj uśta drżały...

Na widok tej szczeréj boleści, ojciec wskróś przejęty litością, ucałował zimną twarz córki i zezwolił na wszystko.

Wiktor zaręczył się z Wandą i z rozpaczliwą tęsknotą w sercu wrócił na rok cały do półku, bijącego się wówczas w Algeryi.

Jeszcze dla innéj przyczyny ojciec starał się wydać zamąż Wandę: on sam był rozkochanym w młodéj, świetnie pięknéj i bogatéj francuzce, i miał się z nią żenić zaraz po wydaniu zamąż córki.

Dla wszystkich było to tajemnicą, lecz nie dla bystréj Wandy. Ona nie lubiła Waleryi d'Estange, swéj koleżanki z pensyi, która jéj tyle okazywała przyjaźni. Tylko téj jednéj osoby nie lubiła, zresztą kochała wszystko co Bóg stworzył, nawet Wiktora de Rouvigny, który ją chciał wyrwać z ojcowskiego domu.

Wanda musiała znać przyczyny téj niechęci względem Waleryi, bo w niéj trwała uporczywie, chociaż się z tém uczuciem taiła.

Róże znikają z lica pięknéj Polki, udaje się ona często na grób swéj matki i błaga jéj cienia o opiekę i radę. «O matko moja, co z wy-

sokości niebios na mnie spoglądasz! wybacz mi jeślim kiedy obraziła twą pamięć niegodnym uczynkiem, lub nawet tylko myślą niepoczciwą zachmurzyła twoje czoło: lecz czemuż nie mogę wyrugować z mego serca owego uczucia niechęci do Waleryi, która ciebie zastąpiła w sercu twego męża, a mego ojca? Czemuż jéj nie mogę wybaczyć znanych mi płochości, tak jak Boga proszę, aby mi wybaczył moje winy? Wstaw się za mną u Stwórcy Wszechmocnego i wybłagaj od Niego najmniejszy znak służyć mi mogący za skazówkę, czy dobrze czynię trwając w tak nieubłaganéj nienawiści względem osoby, która swym majątkiem chce się z ojcem moim podzielić i zabezpieczyć mu starość wolną od trosków i mozołów?"

Tak błagała Wanda obejmując swemi rękami mogiłę, pod którą spoczywały popioły matki, i cała zatopiona w żałości nieraz rozdzierającym jękiem napełniała powietrze.

Cóż tak złego mogła wiedzieć młoda Wanda o swéj koleżance, starszéj tylko o dwa lata? Czyż ją dla tego jedynie nie cierpiała, że ona się wgnieździła w serce ojca, w którém dotychczas

tylko córka i pamięć zmarłéj żony samodzielnie panowały? Boże! cóż to za okrutna tajemnica?

Stan jéj umysłu tak niezwykły, zgubny wywarł wpływ na jéj zdrowie niegdyś, jeszcze przed rokiem, tak silne, a teraz dzień po dniu słabsze. Raz wzruszona do głębi zemdlała na grobie matki, i dopiéro w parę godzin została znalezioną w opłakanym stanie przez ojca. Przyszedłszy do zmysłów, miotana dreszczami i gwałtowném ściśnięciem serca, położyć się musiała w łóżko.

Ojciec nie przewidywał straszliwych skutków tego wzruszenia i przeziębienia, gdyż ona zwyciężając ból fizyczny i moralny, twarz swą stroiła wyrazem udanéj spokojności.

Lecz niebezpieczeństwo powiększało się codziennie i doszło do najwyższego stopnia. Prefekt Rouvigny wezwał pomocy dwóch najbieglejszych lekarzy ze stolicy, bawiących wówczas w kąpielach Pirenejskich. Ci wyznali całą prawdę; nie dawali nawet nadziei przedłużenia tego nieszczęśliwego stanu. Dawno o tém wiedziała Wanda, że śmierć niedaleka, i wyjawiła to rozpacz swoją kryjącemu ojcu słowami: «płacz mój ojcze i łez twoich nie kryj, bo mojém jest przeznaczeniem

połączyć się wkrótce z matką. Więcéj tobie będzie potrzeba odwagi do życia jak mnie do śmierci, bo jeszcze cię czeka inny cios, boleśniejszy od śmierci mojéj.»

Słowa te były zagadką dla ojca dogorywającéj Wandy.

Przez dwa dni i dwie noce lube to dziécię prawie bezprzestannie rozmawiało z nieszczęśliwym ojcem; w ciągu tego długiego i bolesnego stanu choroby, nie przestawało przyciskać ręki jego już do ust, już do osłabionego serca. Co za przytomność umysłu, co za odwaga w tak stanowczéj chwili na godzinę może przed śmiercią? Potém kazawszy sobie podać źwierciadło wpatrywała się w nie uważnie i rzekła:

«Proszę cię kochany ojcze uczyń mi jedną łaskę. Chciałabym się kazać odmalować i portret ci mój oddać. Czuję, że ten dar będzie ci miłym, a może i zbawiennym. Tym sposobem drogi ojcze niestracisz mię zupełnie.»

Ojciec oblewając się łzami i jednego nie mogąc wymówić słowa, natychmiast wezwał najbieglejszego malarza.

Jak tylko przybył, Wanda najdogodniejszą

przyjęła postawę, lecz palec zbliżyła do nosa, jak gdyby nim chciała grozić.

Luba nadzieja, że zostawi ojcu pamiątkę po sobie, dodawała jéj siły, mało z jéj smutnym stanem zgodnéj. Dopóki tylko robota trwała, siedziała nieporuszona i najokropniejsze bóle ze stałością pokonywała, nie pozwalając im wziąść nad sobą przewagi. Gdy zręczny malarz pochwycił na płótno piérwsze i najgłówniejsze rysy, Wanda widzieć je żądała, i widocznie podobnemi do siebie znalazła. Miły wyraz zadowolnienia natychmiast rozlał się po całéj twarzy.—«O kochany ojcze!» rzekła, «śmierć nie potrafi wydrzéć ci przynajmniéj tego wiernego obrazu twéj przyjaciółki, duch mój zawsze będzie przy nim, i zawsze z palcem podniesionym,—późniéj dowiész się dla czego.»

Na te słowa głęboko westchnęła, i słabe ręce około ojca zawiesiwszy szyi, w tym stanie z pół godziny przepędziła w milczeniu. Przerwała nakoniec tę przerażającą ciszę, słowami:

«Pozwól kochany ojcze, abym się pożegnała z ziomkami memi, tułaczami, którzy od tak dawna tęsknią do ojczyzny.»

Oni ją wszyscy kochali jak bóstwo, jak najcnotliwszą przedstawicielkę narodowego piękna i cnót ojczystych; dla nich Wanda miała urok anioła pocieszyciela, który do nich zstąpił z nieba, a gdy z nich kto upadł na duchu, tego przywracało do siły jedno słowo młodéj Polki. Wszyscy téż pogrążeni w smutku i łzami zalani, czuwali w pobliżkości nad ostatniemi chwilami znikającego anioła.

Podawała im kolejno rękę, witając ich po imieniu i nazwisku jak gdyby ich upewnić chciała, że ich nie zapomni w swych modłach w niebie.

Potém zebrawszy swe myśli rzekła z wyrazem świętéj wzniosłości w swéj lubéj twarzy:

«Rodacy! rok tylko, piérwszy mego życia przepędziłam w naszéj ojczyźnie, a potém zawsze do niéj tęskniłam, więcéj przejęta waszym bolem jak własnym. Cierpiałam dla was i za was, i modlić się będę dla tych, których pozostawiam w cierpieniach. Wywdzięczcież mi się rodacy, ojca mego kojcie żale i brońcie go od rozpaczy, aby nie powiedziano, że Karol Maliński kochał cóś więcéj nad swój biédny, spółczucia dzielnych serc

potrzebujący kraj. Oh! wytrwajcie w téj miłości!»

Któż zdoła opisać boleść tułaczy, z któremi się rozstaje anioł pocieszyciel.

Wanda usnęła — pośród ich jęków. W godzinę potém przebudziła się, i kazała przyjść mamce i jéj córkom.

Te gdy nadeszły, Wanda kolejno je za ręce ściskała, potém kazawszy sobie poprzynosić wszystkie swoje rzeczy, jako to: drobne klejnoty, książki i suknie i rozdała je pomiędzy te dziéwczęta.

«Moje dobre i szczére wychowanki» rzekła im z czułością — «zachowajcie te małe podarunki dla méj pamięci, i waszą troskliwością starajcie się zastąpić mnie przy kochanym ojcu.»

Wanda nie mniéj od innych przytomnych była rozczuloną, jednakże zadziwiającą przytomność umysłu, w tak strasznéj zachowywała chwili. Już jedną nogą stojąc w grobie, z wdzięcznością dziękowała wszystkim co o niéj w dzieciństwie mieli staranie.

Wanda zbliżała się do swéj ostatniéj chwili, oczy jéj na zawsze zamknąć się miały.

Czuła to, i spełniwszy swe ostatnie powinno-

ści religijne z przytomnością świętéj wstępującéj do Nieba, kazała wyjść wszystkim z pokoju, i tylko ojca prosiła, aby pozostał.

«Wiesz ojcze dla czego mój portret malowany z podniesionym palcem?» spyta umiérająca.

—«Nie wiém.»

—«Aby ci groził, że cię spotka nieszczęście i hańba, jeśli się ożenisz z Waleryją d'Estange! ona ciebie niegodna, wiém o tém. Otóż, co ci chowałam na ostatek, gotując się do tego od roku, wybacz biédny ojcze umiérającéj, honor ojca kochającéj córce. Przebacz o! Boże! Boże!»

Jeszcze cóś koniecznie przemówić chciała, poruszała usta, lecz żadnego już nie mogła wydać głosu. Jeszcze rękę ojca pochwyciła i przycisnęła ją do serca. To poruszenie tak było żywe i wyraźne, oczy jéj tak wymowne czuciem i wyrazem litości, że nigdy nie wyszły z pamięci biédnego ojca.

Skonała z tym wyrazem w oczach, z uśmiechem w anielskiéj twarzy.

* * *

Wandzie Malińskiéj sprawiono pogrzéb, jakiego od dawna nie widziano we Francyi: dziewice w bieli niosły ją do grobu w trumnie, któréj wieko było odkryte; inne dziewice słały kwiaty po drodze, po któréj postępował orszak pogrzebowy. Dwustu seminarzystów z trybularzami postępowało dwóma szeregami z obu stron trumny, sam Biskup celebrował, a wszyscy prawie księża okoliczni przybyli w odświętnych ornatach i z własnego natchnienia na pogrzéb młodej polki, któréj pamięć nie prędko wygaśnie w kraju obcym.

Narzeczony postawił na grobie Wandy statuę z białego marmuru wyobrażającą jéj postać: artysta korzystając z portretu umiał jéj nadać uderzające podobieństwo.

Ten grób jest przedmiotem czci dla całéj okolicy; zawsze tu ujrzysz najwcześniejsze i najpiękniejsze kwiaty.

* *
*

Przez długi czas żal ojca po stracie takiéj córki był nieutulonym.

Głęboka boleść moralna oburza się z początku

przeciw usiłowaniom wszystkich, którzyby ją chcieli uleczyć, lecz potém szuka ich pomimowolnie, i nieznacznie poddaje się pociechom zręcznie udzielanym przez przyjaciół.

W zachwycających wspaniałych widokach gór Pirenejskich, w których nieszczęśliwy ojciec szukał wstrząśnień odwieść mogących go od ciągłéj myśli o Wandzie, znalazła się, niewiemy czy przypadkiem, młoda Waleryja d'Estange, panna, która będąc otoczoną liczném gronem młodych wielbicieli, od dawna upatrzyła sobie biédnego tułacza za małżonka i nie dała się zrazić oziębłością, okazywaną jéj przez Malińskiego, w którego uszach wciąż jeszcze brzmiały ostatnie słowa umiérającéj córki.

—«Wanda nie była świętą, mogła się mylić, mogła poczytać u Waleryi to za bardzo złe, co tylko jest piérwszéj młodości małym usterkiem» mówił do siebie Maliński, i ujęty ustawicznemi grzecznościami i serdecznością pięknéj osoby, przytém znękany pracą zaledwie wystarczającą na życie, już nie zważał na portret córki z podniesionym palcem, potém zasłonić go kazał, na-

reszcie i ożenił się z Waleryją, coś w półtora roku po śmierci Wandy.

Wkrócce potém pojął dla czego Wanda tyle okazywała wstrętu ku Waleryi, istotnie oddawna z gruntu zepsutéj, a skrytéj i złośliwéj osoby.

Biédna Wanda musiała na pensyi czegóś się dopatrzéć u Waleryi, czego sama w swéj niewinności i anielskiéj czystości wyjawić nie śmiała; Waleryja zaś na złość Wandzie chciała zostać jéj macochą, i teraz nawet po jéj śmierci zacięcie wytrwała w swym dziwnym uporze, myśląc że i tam dokuczy jéj jeszcze w niebie.

Maliński nie przewidział, ile może być złości zawartéj w kobiécie młodéj i pięknéj, i żeniąc się z Waleryją porzucił swój urząd w Prefekturze, przez co całkiem stał się zależnym od kaprysów przewrótnéj żony, któréj wkrótce maska przyzwoitości zaczęła być do tego stopnia nie wygodną, że ją najzupełniéj porzuciła i już bez względu na dobrą sławę małżonka szła za natchnieniami swego niegodziwego temperamentu, kalając nazwisko Polaka dotychczas tak szacowane.

Nie długo trwało takie położenie, nie mógł go znieść uczciwy ojciec Wandy: jednego rana znaleziono go na klęczkach przed wizerunkiem córki; oparty był o ścianę, ale już nie żył; serce mu pękło i krew go zalała wewnątrz.

X.

PAWEŁ DOŁĘGA.

X.

Paweł Dołęga Trębacz.

Urodził się w roku 1815 w Warszawie.

Lecz i pomiędzy niższą sferą towarzystwa, nawet wśród tak nazwanych synów natury, na których wychowanie nie wiele łożono, zdarzyć się mogą cudowne dzieci, górujące nie jednym przymiotem, lecz kilkoma na raz nad ogółem rówienników. Takie dzieci nierozwinięte w sztucznéj cieplarni spotęgowanych uczuć i wyrafinowanéj pedagogiki, lecz raczéj pod gołém niebem natury, i pod władzą uczuć prostych lecz uczciwych, silniéj się umieją opiérać szkodliwym a na cudowne dzieci ciągle godzącym wpływom i

służą za dowód wielkich zasobów zdolności i życia, zawartych w naszym, dotychczas jeszcze prawie tylko wegietującym ludzie.

Paweł Dołęga był synem Piotra Dołęgi ze Stopnickiego, który wstąpiwszy za czasów księstwa Warszawskiego do wojska, został sztabstrębaczem w ciągu kampanii 1812 roku i nadto ozdobiony Legiją honorową, za waleczność i przytomność okazaną przy jakiejś ważnéj sposobności, gdzie sygnałami zręcznie dawanemi, wywiódł nieprzyjaciela w pole a własnych ocalił.

Potém Piotr Dołęga za nowo przywróconego Królestwa, pozostał w służbie, ale już jako artysta, jako wyższy trębacz kapeli półku 1-go ułanów i znanym był w całym wojsku z dzielności, z jaką wygrywał narodowe melodyje, zwłaszcza krakowiaki i mazurki; pobierał též bardzo piękny, oficerskiemu równający się żółd, ożenił się z ładną córką jakiegoś ubogiego mieszczanina z Miechowa, która go rok rocznie uszczęśliwiała potomstwem.

Potém około roku 1824, biédny Piotr Dołęga zapadł na egipskie zapalenie ocz, grasujące wówczas w wojsku polskiém, podobno w skutek ściskania

brzucha i szyi, a w skutek tego zapalenia przeszło dwa tysiące wojskowych wzrok utraciło, a pomiędzy nimi i Piotr Dołęga jeszcze w kwiecie wieku będący, licząc zaledwie lat czterdzieści. Dano mu emeryturkę, z któréj wyżywić nie zdołał żony i sześcioro dzieci, z rozpaczy rozpił się i już sobie chciał odbiérać życie, kiedy jego dziesięcioletni syn Paweł, bystry jak promień słońca, rozgarniony, zdolny i ochoczy chłopak, pojął całe położenie ojca i od razu wynalazł lekarstwo na jego biédę i rozpacz.

—«Tatulku!» rzecze syn do ojca—«puśćmy się w świat w całe królestwo Polskie na dawanie koncertów, a co zarobiemy i oszczędziemy, to posyłać będziem matce. Już ja dobrze umiem wtórować na trąbce z pistonami, a zresztą sobie damy radę, przecię ja tam w ciemię niebity, umiem czytać, afisz jako tako napisać i umiem sobie radzić pomiędzy ludźmi.»

Ojcu podobała się rada syna, a matka, przywiedziona prawie do nędzy kobiéta, czerpała nadzieję z natchnionych spojrzeń Pawełka, i także przyzwoliła na wykonanie tego heroicznego zamysłu.

Puścili się naprzód do Kalisza podróżując częścią piechotą, częścią wieszając się tu i ówdzie furmanek, przypadkiem znajdywanych w miasteczkach i karczmach.

Kalisz był wówczas miastem, o jakiém dzisiejszy jego stan żadnego nie może dać wyobrażenia. Korpus kadetów, szkoły wojewódzkie, kommissyja wojewódzka, Trybunały, fabryki i sławne jarmarki sprowadzały do tego miejsca przez naturę i sztukę ozdobionego, bardzo dobry byt, a z nim wesołość. Prawie zawsze bawiła tam truppa aktorów polskich z Krakowa lub nawet z Warszawy, albo niemiecka z Wrocławia; w licznych spacerowych ogródkach mieszczanie i urzędnicy bawili się wesoło, chętnie przysłuchując się muzyce; na wakacye zaś, kiedy kadeci stali obozem na łęgu, zjeżdżali się zewsząd konni hecarze, akrobaci, fajerwerkarze, aeronauci i prestydigitatorowie, nawet sam pan Bosco. Słowem Kalisz szedł wówczas jako miasto szczególniéj do zabaw skłonne zaraz po Warszawie, przed Lublinem i innemi ludniejszemi wojewódzkiemi miastami; nie wiem nawet, czy w Warszawie, zawsze w wykwintności i próżności zamiłowanéj, umiano się

bawić z tak dobrą ochotą i tak tanim kosztem. Nic też tonowi publicznemu nie szkodziła różnorodność pochodzenia mieszkańców, można nawet powiedzieć, że mu jeszcze pomagała, bo Niemcy, niech sobie będą jakiemi chcą, tęgo pracując na zarobienie grosza, umieją go używać nie przejadaniem go i przepiciem, lecz w pogadance w ogrodach przy odgłosie muzyki, i innemi sposobami rozkrzewiającemi ducha wesołości i artyzmu.

Kadeci i uczniowie, obywatele okoliczni, mieszczanie i urzędnicy, wzięli ociemniałego wiarusa i dzielnego Pawełka w opiekę. Gromadzili się wszędzie, gdzie się tylko produkowali w salach i ogródkach, a nawet do domów prywatnych, z okoliczności uczt i wesel, ich zapraszali, tak, że naszym wirtuozom doskonale poszło. Zaraz w piérwszym miesiącu Pawełek posłał matce trzysta złotych, czuwał przytém jak Opatrzność nad wszystkiemi wygodami ojca, ale mu nie pozwalał pić żadnym sposobem za nadto. Krótko go trzymał pod tym względem, i nie dał się zrazić gniewem ojca w początku mu okazywanym za to powstrzymywanie go od trunków

Potém pobawiwszy miesięcy kilka w Kaliszu,

nasi trębacze udali się przez Sieradz, Wieluń, Piotrków i Częstochowę w Krakowskie i dotarli do samego Krakowa, gdzie także najlepszego doznali przyjęcia. Nawet całą zimę przepędzili w starożytnym i gościnym grodzie królów Polski, i tutaj Pawełek korzystał z opieki jednego ucznia szkoły Ś-téj Anny, przykładał się w chwilach wolnych gorliwie do nauk, poduczył się historyi polskiéj i zasmakował w czytaniu, — za co potém Bogu dziękował, bo i ojca mógł ubawić opowiadaniem tego co przeczytał i sam sobie książką uprzyjemniał chwile odpoczynku.

Zawiadywał Pawełek całą kassą ojca, która nieraz była sporą, bo widok ociemniałego, krzyżem francuskim ozdobionego żołnierza, wzbudzał wszędzie, w sercach przeszłość pamiętających, serdeczne współczucie, a Polak łatwo wówczas sięgał do kieszeni, gdy mu się serce rozczuliło.

Nigdy się jednakże Pawełek ojcu nie przeniewierzył, spisywał sumiennie przychody i wydatki; a jeśli co zakupił zbytkowego, to już chyba książkę u antykwaryjusza i tę, po kilkakrotném przeczytaniu, odsyłał do Warszawy dla młodszych braci swoich, napominając ich, żeby

się także uczyli i uzdolnili na pomocnych rodzicom ludzi.

Często pisywał, i to z uwagą, zadając sobie oczywistą prącę, aby się wykształcić w stylu; utrzymywał sobie nawet dzienniczek podróży, dotychczas przechowany, w którym z przyjemnością wyczytujemy, że nie tylko postępował bardzo szybko w naukach, lecz także wdzięcznem sercem wspominał o dobroczyńcach, często spotykanych w ciągu jego wędrówek po Polsce.

Corocznie na dwa lub trzy miesiące, Pawełek wracał z ojcem do Warszawy i tam nauczał swych braci, sam kształcąc się u dobrych nauczycieli w muzyce na nótach; i takim sposobem poznawał wszystkie nowe, a w modę weszłe tańce, aby potém mógł czém świeżem zabawić prowincye. We dwa lata przeskrzydlił ojca w talencie, tak, że stary wtórował synowi, a już nie syn staremu; nawet już poczynał sam komponować i nie jedną ludową piosenkę wyrwał niepamięci, nie jedną upowszechnił w całym kraju, która przedtém tylko w jakimś zakątku była znana.

Podróżowali raz piechotą, już wieczorem, z jednego miasteczka do drugiego, lasem, i tam zo-

stali opadnięci przez chmarę cyganów, którzy jak się pokazało wiedzieli, że Pawełek ma kilka set złotych na sobie i chcieli się niemi obłowić.

Położenie wirtuozów było okropne: oślepły żołnierz sam nakłaniał syna, żeby rabusiom oddał pieniądze, i tém się uwolnił od nich, bo inaczéj, rozjątrzeni oporem, gotowi się dopuścić morderstwa. Ani o tém chciał słyszeć waleczny, już wówczas cztérnaście lat mający Pawełek;— wyrwał ojcu okuty w żelazo kostur z ręki i nim natarł na cyganów, słysząc zaś z daleka, że się jakaś fura przybliża, uderzył jednego z łotrów tak mocno w głowę, że ten zbroczony krwią upadł na ziemię. Wówczas rozzłoszczeni obdartusy porwali się do kamieni i niemi bombardowali walecznego młodzieńca, który wołał co miał siły o pomoc, i nie dał nawet unieść skaleczonego napastnika. Sam otrzymał ran kilka kamieniami, z których jedną tak silną w nogę, że mu piszczel zgruchotała.

Przybyła nareszcie pomoc: ekonom wracał z poblizkiego miasteczka z próżnemi wozami, sprzedawszy w niém ziarno, i właśnie przybiegł w chwili, gdy Pawełek klęcząc na ziemi, na któréj

już ustać nie mógł, oganiał się koszturem, ostatnich sił dobywając. Działo się to w blizkości Wieruszowa w Kaliskiém.

Pojmany w niewolę cygan i badany po opatrzeniu ciężkiéj rany, wydał wszystkich wspólników, którzy się tymczasem schronili do Księztwa Poznańskiego, do lasów Krotoszyńskich, i potém wzięci w obławę przez wojsko pruskie, pochwyceni zostali.

Ale Pawełek przypłacił tę krwawą sprawę kilko-miesięczną bolesną chorobą; długo potém utykał na nogę i blizko przez rok cały nie mógł towarzyszyć ojcu w wycieczkach.

Cały ten czas przesiedział ojciec z walecznym synem u pana Kacz. gościnnego dziedzica wsi, na któréj gruncie Pawełek potykał się z cyganami. Szanowny ten obywatel umiał ocenić duszę i serce odważnego młodziana, kazał go podczas konwalescencyi kształcić u siebie we dworze, w naukach i muzyce, i postanowił zająć się jego dalszym losem.

Najpiękniejsza przyszłość śmiała się do Pawełka, i w dzienniczku jego pozostały dowody z jak wdzięcznem sercem młody trębacz dziękował Bogu

za spotkanie się z szanownym obywatelem kaliskiego, który w biédnym wędrownym muzykancie odgadł wyższą duszę, i nie tylko łożył na jego wychowanie, lecz także matce dosyłał pomoc pieniężną.

Niewidomy ojciec kształcił tymczasem sługi pana Ka....skiego na muzykantów i z nich uformował niezłych trębaczów.

Wtém wybuchła wojna. Cztérnastoletni Paweł Dołęga nie pytając się ani ojca, ani opiekuna, przystał do jazdy poznańskiéj za trębacza i wszystkich zachwycił swą dzielną postawą.

Nie w jedném młodem sercu zadrgała żyłka bohatérska na widok Pawełka, który na białym koniu, z czérwoném piórem u ułańskiéj czapki, w mundurze srébrem szamerowanym, dowodził półkowemi trębaczami: i w takiém posłuszeństwie trzymał swych podwładnych, że wszyscy na jego głos drżeli, a trąbkę jego rozeznałeś na pół mili, tak była donośną i przenikliwą.

Wielu osłabło na duchu w ciągu téj kampanii, nawet ze szlachty i z oficerów, lecz on nigdy. W tak młodym wieku ponosił trudy wojenne z zastanawiającą wytrwałością, w boju nacie-

rał sam ze szwadronem, zagrzewając go do męztwa trąbką, a w potrzebie i szablą. Za kilkakrotne odznaczenie się posunięto go naprzód na podoficera, potém go ozdobiono srébrnym felcechem; nareszcie nawet, gdy zabitego mając na placu boju konia, padł pod niego, i sam ranny, nie tylko nie przestał trąbić do attaku, lecz dosiadłszy innego konia i zebrawszy uciekający pluton, uderzył z nim na armaty i wziął z nich jedną;—Paweł Dołęga za tak bohatérski czyn, został ozdobiony krzyżem walecznych, nie mając jeszcze lat piętnastu, a w miesiąc potém posunięty na oficera i kolegą uznany przez dumną poznańską szlachtę.

Lecz z trąbką rozstać się nie chciał Pawełek i nie zmuszał go do tego półkownik, dawny wojskowy z czasów francuzkich, który wiedział, że za Napoleona generałsztabs trębacze, byli oficerami.

Przy szlifach i orderze, ze srébrną trąbką, przybył Paweł Dołęga do Francyi i tam dzięki swym zasługom, swéj dzielnéj minie i orderowi francuzkiemu ojca, przyjętym został do konserwatorium wojskowego, w którém się kształcą młodzi muzycy wojskowi na kapelmajstrów półkowych. Tylko konkursem dość trudnym uzyskuje się

wstęp do tego konserwatorium, lecz dla Pawła Dołęgi zrobiono wyjątek, i żaden z jego kolegów na to się nie żalił; owszem szlachetni Francuzi dumnymi byli z koleżeństwa z tak młodym bohatérem; wzięli go zaraz w jak najserdeczniejszą opiekę, uczyli go po francuzku, wszystko mu ułatwiali; a widząc, że Pawełek oszczędnie żyje i część swego żołdu biédnym rodzicom do Polski przesyła, ogłosili go najcnotliwszym z wszystkich trębaczy Europy, i koniecznie się domagali u akademii francuzkiéj, aby mu udzieliła praemium Monthyona za cnotę synowską.

Akademija nie mogła się oprzeć prośbom i naleganiom Konserwatorium wojskowego, i udziela polskiemu trębaczowi złoty medal synowskiéj cnotliwości.

O mało nie poszaleli muzykanci z radości. Takie u nich koleżeństwo pomiędzy młodzieżą, nawet względem cudzoziemców!

Trzy lata pozostał Paweł Dołęga w konserwatorium wojskowém w Paryżu, potém zdawszy najchlubniéj egzamen i uzyskawszy małą naturalizacyą, został mianowany kapelmejstrem półku IV Huzarów, najpiękniejszego z całéj broni, z po-

wodu piękności munduru, dzielności koni i doboru ludzi, urodzenia i bogactwa oficerów.

Płacę pobierał kapitanską, to jest 3,600 franków na rok, którą się nie przestawał dzielić z rodzicami i rodzeństwem.

Młody, krzyżem waleczności i medalem cnoty ozdobiony kapelmajster, żył na stopie równości z wielą oficerami, mianowicie z sławnym kapitanem margrabią Kersausi, który był wnukiem sławniejszego jeszcze niegdyś, piérwszego grenadyera Francyi, hrabi *La Tour d'Auvergne.*

Samemu nieboszczykowi księciu Orleans, wpadł w oko na rewii pod Satory: książę królewski zapraszał go do siebie i zachwycał się jego grą, mianowicie mazurkami i krakowiakami.

Szczęśliwa Francya ma dla wszystkich talentów i zdolności również honorowe miejsce: kapelmajster półkowy nie psuł najlepszego towarzystwa.

Paweł Dołęga, przezwany we Francyi: *Paul d'Olinga la prémière trompette de France*, ożenił się z młodą, piękną, bogatą i szlachetnego rodu francuzką, i doczekał się w wojsku francuzkiém awansu na generalnego inspektora muzyk

półkowych i zaszczytu Kawalera Legii honorowéj. Lecz od czasu upadku Orleanów, którym osobiście wiele zawdzięczał, nie chciał służyć w wojsku, wziął dymissyą i osiadł na wsi w *swoim własnym* zamku i tam wychowuje dzieci w znajomości języka polskiego na zdolnych Polsce, Francyi i całemu światu użytecznych ludzi. Braci swoich wykierował już wprzódy na ludzi; dwie siostry wydał zamąż; matka jego już umarła, lecz ojciec żyje przy nim i uczy wnuków grać na trąbce pistonowéj mazurki i krakowiaki.

XI.

SALOMEA URBANOWICZÓWNA.

półkowych i zaszczytu Kawaliera Legii honorowéj. Lecz od czasu upadku Orleanów, którym osobiście wiele zawdzięczał, nie chciał służyć w wojsku, wziął dymissyą i osiadł na wsi w swoim mniejszym zamku i tam wychowuje dzieci w znajomości języka polskiego na zdolnych Polsce, Francyi i całemu światu użytecznych ludzi. Braci swoich wykierował już wprzódy na ludzi; dwie siostry wydał zamąż; matka jego już umarła, lecz ojciec żyje przy nim i uczy wnuków grać na trąbce pistonowéj mazurki i krakowiaki.

XI.

Salomea Urbanowiczówna.

Urodzona w Poznańskiém w r. 1836.

Świetnemi nie błyszczała przymiotami, lecz jedną miała wielką cnotę, już od najwcześniejszych lat dzieciństwa, że sama będąc bardzo biédną i uciśnioną, lubiła jednakże ocierać łzy każdemu cierpiącemu i bronić każdego gnębionego. Ta jedna cnota już wybitna w wieku, w którym inne niskiego stanu dzieci nie mają wyobrażenia o ludzkości i miłosierdziu, nadaje Salusi Urbanowiczównie jeszcze żyjącéj, prawo obywatelstwa w téj książce, i nie lękamy się przez to obrazić jéj skromności, że o niéj piszemy i głosiemy; bo wymieniać miej-

sca jéj pobytu nie będziemy; a warto przecież, żeby ciche cnoty naszego ludu, zwracały na się uwagę wyższych stanów, często już w cnoty nie wierzących.

Historyą jéj skromnego życia musiemy zacząć od jéj dziadka, piwowara w małém miasteczku, czyli mielcarza, jak go tam nazywają prowincyonalnym wyrazem.

Grzegorz, syn ubogiego mieszczanina, ożenił się mając lat dwadzieścia, dla uniknięcia poboru wojskowego, i miał z tą piérwszą żoną córkę, która poszła zamąż za szewca Urbanowicza, i w kilka lat po wydaniu na świat córki Salomei umarła. Urbanowicz nie znalazłszy w miasteczku zarobku, poszedł w świat i zostawił swą córkę pod opieką dziadka już owdowiałego, który w kilka lat potém ożenił się powtórnie z bardzo młodą zaledwie szesnastoletnią mieszczką. Z téj żony przybyło Grzegorzowi kilkoro córek; których Salusia wówczas siedm lat mająca niańczyć musiała.

Młoda babka nie lubiła Salusi, była zapewnie nieczułą na jéj dobroć i usłużność; dziad, jeszcze w sile wieku, oddawał się trunkowi i niewiele

wiedział co się działo w domu. Biédna sierota ciotki swe, młodsze od siebie pielęgnując, nie raz gorzkiemi zalewała się łzami, ale znosiła cierpliwie złe humory babki i oziębłość dziadka, mniemając, że tak być musi, kiedy tak jest. Sama się też badała sumiennie czy swém postępowaniem nie zasłużyła na swą niedolę, i znajdywała, że i ona nie raz zawiniła, jeżeli nie złą mową lub czynem, to złą myślą.

Jedyną tylko znajdywała pociechę w pacierzu i w naukach, które jéj przecież na naleganie księdza; pozwolono pobierać w szkółce parafijalnéj. Dobry proboszcz opiekował się szkółką, często do niéj zaglądał i przekonał się, że Salusia grzecznością i pojętnością nad wszystkie inne górowała i sama nie wiedząc o swéj wyższości, szczérze się litowała nad losem innych, którzy się niczego nauczyć nie mogli.

Nie raz ją także Ksiądz dobrodziéj obdarował małemi podarunkami, które ona do domu swym małym ciotkom zanosiła, czerpiąc jedyną radość w widoku ich szczęścia.

Raz się zdarzyło, że pani hrabina R... dziedziczka miasteczka, odwiedzała szkółkę parafijalną

i egzaminowała uczennice z religii i z historyi krajowéj. Salusia najlepiéj odpowiadała i oczarowała hrabinę swą roztropnością.

„Któż jest to cudne dziecko tak miłe, roztropne i taką pamięcią obdarzone?" spyta pani hrabina proboszcza, który był obecnym temu.

„Jest to sierota, któréj matka umarła, ojciec zaś lat temu kilka poszedł w świat; wychowuje się przy dziadku, mielcarzu i niańkuje jego małym dzieciom z drugiego małżeństwa"— odpowie proboszcz.

—„Salusiu chcesz pojechać ze mną do drugich dóbr moich, ztąd o cztéry mile? będę cię wychowywać razem z moją córką,"

—„Oh pani hrabino"—odpowie Salusia—nieodstąpiłabym jeszcze méj najmniejszéj ciociuni, która jeszcze chodzić nie umie; ale jak się odchowa, to chętnie pójdę do jaśnie pani."—

Hrabina rozczulona do łez tym szlachetnym objawem chrześcijańskich uczuć, darowała Salusi trzy talary i obiecując, że w krótce wróci, poleciła to dziecko usilnéj opiece księdza i pojechała daléj.

Salusia zakupiła za jednego talara obwarzan-

ków dla całéj szkoły, za drugiego, cukierków i zabawek dla swych ciotek, trzeciego zaś wymieniła na drobne i postanowiła rozdać pomiędzy znanych jéj ubogich. O sobie saméj zapomniała, łatwiéj było téj młodéj lecz szczeréj chrześcijance zapomnieć o sobie, niż innéj w bigoteryi skrzepłéj fanatyczce, przypomnieć sobie o najbliżéj stojących bliźnich.

Cóś niedługo potém zachorował ksiądz proboszcz na bardzo niebezpieczny tyfus. Salusia z własnego natchnienia poszła go pielęgnować, i własne swe życie ważąc, pozostała w plebanii przez cały miesiąc, czuwając dniem i nocą nad chorym. W tym czasie okazała tyle serca i roztropności, że nawet gospodyni proboszcza, zawsze skłonna do zazdrości, wychwalić się nie mogła Salusi i przepowiedziała, że to będzie święta.

Pani hrabina dotrzymała słowa i przyjechała po biédną sierotę właśnie wtenczas, kiedy nowa ciotka miała przyjść na świat i zawezwać Salusią do nowych wysileń. Babka dotychczas nic nie wiedziała o przyobiecanéj łasce pani hrabiny, a gdy się dowiedziała o trzech talarach darowanych przez nią Salusi, a których dobra dzie-

wczyna w sposób nam wiadomy użyła, wpadła w niesłychany gniew i obiła biédną dziewczynę do tego stopnia, że ją na rozkaz proboszcza półżywą do plebanij zaniesiono.

Nie prędko, bo dopiéro za dwa tygodnie przyszła Salusia do zdrowia i mogła być przez proboszcza zawiezioną do pani hrabiny. Ale nie chciała wyjechać z miasteczka, nie pogodziwszy się wprzódy z babką, i gdy ujrzała nową ciotkę w kolebce, pragnęła pozostać u złośliwéj babki i odchować jéj dziecko. Już na to ksiądz proboszcz nie zezwolił.

Miała Salusia lat jedenaście skończonych, kiedy do domu pani hrabiny pod Poznań przyjechała. Magnatka ta, należała do rzędu bardzo rzadkich osób, ceniących szlachetne uczucia nad nadobne maniery, i dla tego nie wzdragała się wychowywać Salusię razem z swą córeczką o rok młódszą, ciesząc się nadzieją, że jedna od drugiéj przyjmie tylko to, co jest dobrem.

Nie omyliła się: Salusia od panny Zofii nabrała maniery, a panna Zofija od Salusi część jéj chrześcijańskich przymiotów.

Zrazu pani hrabina chciała kształcić Salusię

we wszystkich naukach i sztukach, w których, doskonalono pannę Zofię, lecz dziwna rzecz! Salusia tak pojętna, nieokazywała żadnego talentu do francuzkiego języka i do muzyki, wolała się uczyć po polsku, historyi i przykładać do kobiecych robót.

„Nie chcę się wstydzić mego ojca szewca, i mego dziadka piwowara, a kto wie, czybym się ich nie wstydziła, gdybym umiała mówić po francuzku i grać na fortepianie" — mówiła Salusia, idąc może za radą księdza proboszcza, jéj wiernego opiekuna; ale zaręczyć nie możemy z pewnością czy nie z własnego natchnienia pochodził ów wstręt do bardzo wykwintnego, stanowi nieodpowiedniego wychowania.

Dwa razy na rok Salusia odwiedzała dziadka i młodym ciociom, których miała czworo, przywoziła podarunki.—

W ten sposób upłynęło lat pięć i Salusia wyrosła na wcale ładną, wysoką i mocną, czysto polskiego typu dziewicę. Oczy miała barwy laskowego orzecha, rozumne i łagodne, piękne zęby, włosy ciemno-blond i cerę jasną; a w całém jéj

ujęciu było cóś poszanowanie i przyjaźń wzbudzającego.

Panna Zofia nie była jedynem dzieckiem pani hrabiny, miała ona brata, który podróżował po Europie, skończywszy wprzódy chlubnie szkoły i instytut agronomiczny. Wraca młody hrabia do domu i zastaje w nim ideał, o którym dawno marzył: młodą i piękną dziewczynę z ludu, wychowaną nie z przesadzoną wykwintnością na osobę salonową, tylko do próżnowania służącą, lecz na zacną polkę i dobrą przyszłą matkę szlacheckiego rodu.

Młody, entuzjastyczny, odradzające siły natury z powołania znający i czczący hrabia, pokochał się w dzielnéj córce biédnego szewca tak szczérze i mocno, jak jeszcze nigdy nic w życiu swojem nie kochał, i nie zdołał ukrywać swéj miłości ani przed Salomeą, ani przed swą matką, pomimo najszczerszych chęci.

Hrabina naprzód spostrzegła co się święci i przestraszyła się, bo znała gwałtowność uczuć swego syna, a choć szczérze kochała Salomeę, zadrżała na samą myśl, żeby hrabiowska korona połączyć się mogła w jéj domu z dratwą szewiecką.

Bada tedy pannę Salomeję, aby się przekonać, czy się już młodzi ludzie przypadkiem nie porozumieli i znajduje ją przygotowaną na to badanie, owszem uszczęśliwioną, że i hrabina spostrzegła dla czego jéj syn, posiadający już osobny majątek, przebywać lubi we dworze matki i oczewiście tęskni do towarzystwa jéj wychowanicy.

—„On ciebie kocha Salusiu"—rzecze hrabina.

—„Tak mi się zdaje pani hrabino"— odpowie Salusia.

—„A ty Salusiu?"—spyta daléj skłopotana matka.

—„I ja go kocham hrabino; jakże nie kochać cnotliwego, niepopsutego młodziana, który znając moje nizkie pochodzenie i nie widząc mnie wywyższoną wykwintnością wychowania po nad moją sferę, jednakże znajduje przyjemność w mém towarzystwie, szuka go i tyle mi okazuje szacunku? Tak jest pani hrabino, umiem cenić tę zacność duszy twego syna, i kocham go szczerze"—odpowie Salomea ze łzami w oczach i z tą nieporównaną szczerością, która tylko pięknym, nieskażonym żadną złą myślą duszom, jest właściwą.

—„Więc — więc — Salomeo; więc cóż robić na miłość pana Boga?”... spytą hrabina, drżąc przed młodą dziewicą i pewna, że się będzie musiała ugiąć przed jéj wyrokiem, tak jak przed wyrokiem Boga.

—„Więc— trzeba się rozłączyć hrabino, trzeba się rozstać z tym domem, którego pani tyle winnam, aby nie żałowała gościnności, udzielonéj mnie biédnéj dziewczynie. Czyż pani zresztą myślisz, że nie znam niebezpieczeństw, na jakiebym go wystawiła, oddając mu rękę i przyjmując jego nazwisko? Jeden szyderczy uśmiech jakiego zrujnowanego, zadłużonego u żydów hrabiego, byłby dla hrabi Aleksandra powodem do wyzwania, bo on prędki i obraźliwy jak iskra. Tak, rozłączyć się musim pani hrabino i Bóg, którego błagam rady, zsyła mi pomoc: mój ojciec stargawszy zdrowie swoje w gonitwie za majątkiem, wraca do kraju chory i biedniejszy niż kiedykolwiek; już nawet w téj chwili musiał stanąć w mém rodzinném miasteczku; moją powinnością jest być przy nim i opiekować się resztą dni jego. Miejsce nauczycielki przy szkółce elementarnéj w tém miasteczku wakuje, racz

mnie hrabino obdarzyć tą posadą i dosyłać mi pracę ręczną; o to błagam jako o jedyną łaskę, którą przyjąć mogę sumiennie!

Salomea zalała się łzami i do nóg padła swéj opiekunce, która sama wzruszona do głębi serca, ściskała ją, oblewając twarz swéj szlachetnéj wychowanicy najrzewniejszemi łzami.

„Boże! Boże!— wołała hrabina"—czy mnie nie ukarzesz za to, że takiego anioła puszczam od siebie? że dla dumy poświęcam szczęście mojego jedynego, tak dobrego syna?"—

„Matko!— rzecze Salomea, sam Bóg wskazał mi drogę powinności, zsyłając właśnie w tym dniu ojca, błąkającego się od lat piętnastu po świecie. Wyrok zapadł, nic go cofnąć nie jest w stanie. A teraz hrabino każ zaprzęgać, bo na całą noc puszczam się do rodzinnego miasteczka."

„Wprzódy moja droga córko, jeszcze jedną wyświadcz mi łaskę, o którą cię proszę na klęczkach. Napisz do Aleksandra; tylko twoje anielskie słowa zdołają uśmierzyć boleść, którą mu własna matka zadaje."

„Hrabino? mamże wyznać, że się na jego u-

czuciach poznałam? żem je odgadła? czyż przezto nie stracę jego szacunku? Jego miłość poświęcam na ołtarzu powinności, lecz jego szacunek milszy mi nad życie.”—

„Tak, wyznaj wszystko Salusiu moja i nie lękaj się utraty jego szacunku, robiąc ofiarę, na jaką się tylko najszlachetniejsza kobiéta zdobyć może.”

„Więc niech się stanie wola twoja”— rzekła z głębokiém westchnieniem Salomea i list skreśliła do Aleksandra, ze łzami drżącemi w oczach, ale pewną ręką i wyraźnym charakterem.

*
* *

Rok cały, panna Salomea sprawowała obowiązki nauczycielki elementarnéj szkółki w swém rodzinném mieście, pielęgnując chorego ojca, a potém zaślubiła młodego szlachcica, który w bliskosci dzierżawił wioskę i doń sprowadziła już prawie umierającego rodziciela. Śmierć go zabrała wkrótce potém.

Salomea zostaje matką. Lecz cholera w kracza do kraju i zabiéra jéj syna w tym samym

dniu, w którym ją dochodzi wiadomość, że babka wydawszy na świat syna, umarła.

Własną tłumiąc boleść, anielska kobiéta śpieszy dziadkowi na pomoc i własną piersią karmi nowo-narodzonego wujaszka, piérwszego syna, który się dziadkowi urodził.—

Dla wszystkich jego dzieci, ośmnastoletnia Salomea jest matką, dla męża ideałem, dla kobiét, najszczytniejszym wzorem, dla biédnych całéj krainy czynną niezmordowaną opiekunką.

Jeszcze ją kocha hrabia Aleksander i żenić się nie będzie dopóki ona żyje.

Hrabina żałuje, i teściowéj Salomei zazdrości takiéj synowéj.

XII.

KAROL ZALIWSKI.

XII.

Karol Zaliwski.

Urodzony w Alençon r. 1833 † 1848.

Gdy się urodził na obcéj ziemi, ojciec jego był skazanym na lat dwadzieścia ciężkiego więzienia w dalekiéj fortecy austryjackiéj, któréj nam opis zostawił Silvio Pellico. Wzrastał nie widząc nigdy uśmiechu na licach matki, tylko zawsze łzy w jéj oczach, a gdy się nareszcie zapytał o ojca, powiedziano mu: «żyje, lecz zamknięty w straszliwém więzieniu, z którego zapewne żywym nie wyjdzie.»

Nie mógł się mały Karolek pogodzić z tą myślą, że nigdy swego ojca nie zobaczy i już w naj-

wcześniejszym wieku przemyśliwał dniem i nocą, lecz w cichości i tajemnie, nad sposobami połączenia się z tym, któremu winien życie,— nad środkami osłodzenia mu przykrych chwil więzienia.

«Za co więziono ojca mojego? kto panuje w tamtym kraju? jakim tam językiem przemawiają ludzie? czy są tam kościoły? i czy jest religija?»—takie były pytania, które wszystkim znajomym i nieznajomym zadawał Karolek już w szóstym roku życia, płacząc nad niedolą ojca, którego nigdy nie widział, a własném swém życiem byłby chciał okupić wolność.

«Twój ojciec jest zacnym człowiekiem i bohaterem; tam gdzie on cierpi rządzą niemcy i ludzie przemawiają po niemiecku. Tam są kościoły katolickie, tam panuje rzymsko-apostolskie wyznanie»—odpowiadano dziecku, które się zalewało łzami niemogąc pomieścić w swéj głowie, czemu współwyznawcy tak srogo gnębią ojca jego, o którym wszyscy przemawiają z tak szczerą cześcią, jako o najuczciwszym człowieku.

Już od ósmego roku życia przykładał się do

geografii i do niemieckiego języka z niepojętą dla wszystkich gorliwością, nie brał udziału w zabawach dziecinnych nawet z starszém rodzeństwem, a miał tego kilkoro; lecz w chwilach wolnych od nauk, czytał dzieje ostatnich wypadków, które tylu unieszczęśliwiły ludzi i z nieopisaném zajęciem pochłaniał gazety lub przysłuchiwał się rozmowom tułaczy, dawnych kolegów bohaterskiego ojca swego.

Oddano go do szkoły w Batignolles, kiedy miał lat dziewięć. Karol zadziwiał wszystkich professorów swą pilnością, lecz wielu z swych współuczniów zraził surowością swych obyczajów nieugiętością charakteru i smutkiem ciągle mu towarzyszącym, a niezgodnym z tak młodym wiekiem.

Szczególniéj się przykładał do niemieckiego języka i tylko przestawał z dwoma uczniami wyższéj klassy, którzy mówili cokolwiek po niemiecku. Nikt wówczas jeszcze nie pojmował przyczyn tego zamiłowania do niemczyzny; nie zjednywało mu ono nawet przyjaciół pomiędzy ziomkami od urodzenia napawanemi niechęcią względem narodu, tyle szkodliwego duchowi

słowiańszczyzny i w Francyi nawet nie lubionego. Ale Karolek miał wyższe cele, i zmierzał ku nim ciągle, bezprzestannie, nic nie mówiąc nikomu.

W końcu roku Karolek otrzymał nagrody w książkach za wszystkie przedmioty wykładane w Batignolskiéj szkole; a za wzorowe sprawowanie się, za pilność i za postęp we wszystkich naukach, zaszczycony został medalem srebrnym, na którym wyryte było jego imię i nazwisko. Sam Minister oświecenia wręczył mu ten medal przy publicznym popisie i uroczystości zamknięcia roku szkolnego.

Podczas wakacyi Karolek zajmował się prawie wyjątkowo niemieckim językiem, czytał w nim dzieła poważniejszéj treści, robił sobie z nich wyciągi w tymże samym języku i upędzał się za niemcami, aby z nimi szwargotać.

Już sobie nawet zrobił jakiś przyjazny stosuneczek z synami sekretarza ambasady austryjackiéj, lecz nic nie powiedział o ojcu swym zamkniętym w fortecy austryjackiéj, z obawy, żeby sobie nie zraził bojaźliwych niemców. Już w jedenastym roku życia miało to dziecko więcéj

dyplomatyki, niż jéj okazali nasi mężowie stanu.

Po wakacyjach Karolek wrócił do szkół z intencyją, żeby znów wszystkie nagrody otrzymać, i z taką gorliwością przykładał się do nauk, że sami professorowie hamować w nim musieli zapał.

«Znów nam chce zabrać wszystkie nagrody» mówili współuczniowie i biegli z nim w zawody do celu, podzieliwszy pomiędzy sobą przedmioty, aby choć pojedyńczo mogli nad niego wygórować w niektórych naukach.

Podołał im wszystkim Karolek, bo jego zagrzewała myśl głębsza i szlachetniejsze, jemu tylko wiadome uczucie, sił mu udzielało.

W końcu roku musiano udzielić Karolkowi Zaliwskiemu nagrody za wszystkie przedmioty i przytem medal srebrny za sprawowanie i postępy w ogólności.

Również biegły w języku francuzkim i niemieckim, jak w polskim, Karol Zaliwski znalazł się teraz zdolnym do wykonania zamysłu od sześciu lat pielęgnowanego.

Z swemi medalami w kieszeni, ubrany w piękny mundur ucznia szkoły Batignolskiéj przedstawia się bawiącéj wówczas w Paryżu hrabini Flah....

żonie ambasadora Francyi przy dworze Wiedeńskim, pani znanéj z swych pięknych przymiotów, i prosi ją aby mu wyrobiła w biórze małżonka miejsce przepisywacza, lub przynajmniéj pomocnika przepisywacza. Przytém składa dowody swéj zdolności i swego dobrego sprawowania się.

Pani de Flab.... bada o przyczyny tego żądania. Karol zrazu nie chce ich wyjawić, nareszcie wyznaje, że postanowił wybłagać u Cesarza Austryjackiego uwolnienie dla swego ojca nigdy nie widzianego, już od dwunastu lat w ciężkich więzach trzymanego.

«Niech chociaż dzielę jego więzy pani hrabino, ale tak żyć w oddaleniu od rodzica swego i wiedzieć ile on cierpi,—to nie sposób dłużéj; czuję, że mnie zabiłaby tęsknota.»

Musiał jeszcze czulej przemawiać, bo sama pani ambasadorowa rozpłakała się i uściskała szlachetne dziecko.

—«Nie, nie, sposób byłby wyrobić ci żądane miejsce w biórze ambasadora, który musi unikać wszystkich, dyplomacyją austryjacką obrazić mogących, pozorów» rzecze hrabina—«lecz daję ci miejsce podguwernera mych dzieci. Jednakże do-

piéro w chwili odjazdu mego do Wiednia, obejmiesz tę posadę, tymczasem nikomu, nawet własnéj matce, nie wspominaj nic o twym wyjeździe, i za pieniądze, które ci wręczam, spraw sobie kilka garniturów pięknych sukni; o zegarku sama pomyślę. Staw się tutaj u mnie za trzy tygodnie.»

Hrabina wręczyła Karolowi tysiąc franków w złocie; użył je młodzieniec w połowie, w sposób mu wskazany, a drugą połowę dał matce w chwili, gdy jéj zapowiedział swój wyjazd, a ta chwila była razem pożegnaniem.

Matka nie śmiała stawiać oporu woli syna, z taką wytrwałością od tak dawna powziętéj. Pobłogosławiła swe szlachetne dziecko i pełna ufności w skuteczność jego wstawienia się, myślała, że już nie długo nosić będzie wdowie suknie.

Hrabina kazała nosić Karolowi francuzkie nazwisko z obawy, żeby go małżonek nie przyjął nie przychylnie, lub nawet nie odesłał do Paryża; a przybywszy do Wiednia przedstawiła mu guwernerka jako syna dawnéj znajoméj, wycho-

wanego w szkołach strasburskich, gdzie się doskonale nauczył po niemiecku.

Ambasador bardzo polubił Karolka i nieraz go używał do tłómaczeń, do przepisywania aktów, nawet do swych najtajniejszych korrespondencyj; zaszczycał go swém zaufaniem do tego stopnia, że sam Karol pokochał zimnego dyplomatę i już prawie mniemał, że mu może wyjawić tajemnicę swoją. Od tego jednakże odwiodła go hrabina i z swéj strony przemyśliwała, jakimby sposobem Karol mógł się zbliżyć do Jego Apostolskiéj mości w chwili stosownéj, w chwili jasności umysłowéj i dobrego humoru monarchy, który potem jak wiemy zrzekł się korony z powodu słabości zdrowia umysłowego.

Biedny Karol już się prawie nieposiadał z niecierpliwości, lubo umiał panować nad sobą jak wytrawny człowiek; lecz za każdym razem jak widział Cesarza zblizka, co się zdarzało często, chciał mu upaść do nóg i wołać:

«Najjaśniejszy panie, oddaj mi ojca, któregom nigdy nie widział.»

Raz się hrabina przechadzała po ogrodzie

Schönbrunu z dziećmi swemi i z podguwernerkiem, który sobie umiał u nich zjednać powagę.

Nadchodzi dwóch panów, z których jeden młodszy i niższy, z jąkimś wyrazem niepewności siebie w twarzy, a drugi o wiele starszy, wyższy, wysmukły, z miną genijalną i dostojną. Był to Cesarz Ferdynand z swym ministrem księciém Metternichem.

Cesarz poznaje hrabinę, wita ją bardzo grzecznie; i chwali jéj synków z powodu ich roztropnego wejrzenia i zdrowia.

Dobra hrabina korzysta z téj chwili i przedstawia Cesarzowi guwernerka mówiąc, że mu wiele winna, bo doskonale prowadzi jéj dzieci.

«Cóś bardzo młody ten guwernerek»—rzecze Cesarz Ferdynand.

—«Ale zdolny i nadzwyczaj stateczny»—odpowiada hrabina.

«Zkądżeś rodem kawalerze«—spyta cesarz bardzo dobrotliwie:

—«Z Paryża»—odpowiada Karol.

—«A kto twój ojciec?» pyta daléj Cesarz.

Teraz Karol zdobył się na odwagę, ukląkł i rzekł:

«Niegdyś był półkownikiem gwardyi, od lat zaś trzynastu jest więźniem waszéj Cesarskiéj Apostolskiéj Mości; nigdy go w życiu mojém nie widziałem, oddawna zaś tęsknię do chwili, w któréj na klęczkach mógłbym błagać Najjaśniejszego Pana o uwolnienie go z więzienia, lub o pozwolenie dzielenia jego więzów.»

I zawsze na pogotowiu trzymaną prośbę Karol wręczył Cesarzowi, który zadziwiony, zaambarasowany, nie wiedział czy ją ma przyjąć i struchlałém okiem patrzał na księcia Metternicha.

Książę Kanclerz odebrał prośbę i na prędce treść jéj opowiedział Cesarzowi.

«Zezwalam — zezwalam» — rzecze Cesarz nieco rozczulony.

«Jego Cesarska Mość zezwala na to, żebyś dzielił więzienie z twoim ojcem» — rzecze Metternich i z szyderczą grzecznością, obracając się do hrabiny, doda:

«Wypada nam pani hrabini podziękować za tę piękną niespodziankę; pragnęlibyśmy mieć i resztę rodziny Zaliwskich pod tak dobrym kluczem, pod jakim ojciec z miłym synkiem siedzieć będą.»

«Najjaśniejszy Panie, zlituj się nad losem tego

biédnego dziecka, nie poruczaj go woli tego człowieka, twego doradcy, któryby własnego ojca chętnie zdradził,»— zawoła hrabina najsmutniejszemi przeczuciami trapiona, i zapominając w téj chwili, że jest żoną Ambasadora.

Cesarz struchlał i może nie wiedząc co mówi rzekł:

«Na miłość Pana Boga, kochana hrabino, nie gniewaj go, bo ja go się sam boję.»

A potém ukłoniwszy się jak najgrzeczniéj, Cesarz wrócił z księciem Metternichem do pałacu.

Hrabina drżąc z przestrachu rzekła do Karola:

«Powracaj do Francyi co masz siły, bo oni cię tutaj chcą zgubić; ach co za nieszczęsny pomysł! o biédne dziecko!»

Karol nie dał się zachwiać: w trzy dni potém był w ramionach ojca, który go nigdy niewidział, który już prawie umierał znękany długoletniém więzieniem.

Ojciec odzyskał nowe siły na widok tak dzielnego, kwitnącego zdrowiem i jaśniejącego roztropnością, syna.

Syn odetchnął w więzieniu po piérwszy raz swobodnie; od iluż to lat jego szlachetna dusza jęczała w dokuczających kleszczach tęsknoty! a teraz widzi swe najmilsze nadzieje urzeczywistnionemi i da znać matce, że jest u celu swych życzeń, w objęciach ojca, którego sobie wprawdzie wystawiał mniej starym i znękanym, ale téż mniéj imponującym w więzach.

Nie! Karól nie uwiadomi matki: nie wolno pisać z tego więzienia i wyraźnie rozkazano czuwać nad Karolem tak ściśle, jak nad każdym więźniem.

— «Tak biédny Karolu, jeszcze brakuje lat siedmiu do wysiedzenia méj kary: przez lat siedm wiedzieć nie będzie twoja matka co my porabiamy; dla mnie nie będzie nigdy ułaskawienia......» rzecze ojciec już w piérwszych chwilach poznania, płacząc nad niedolą szlachetnego syna swego.

«A jak okropnie zimno, ciemno i wilgotno w tych więzieniach w żywéj skale wykutych? jak tu żyć będzie młodzian dotychczas oddychający swobodném powietrzem pięknego nieba Francyi?»— rzecze do siebie stroskany ojciec.

«Ojcze! ojcze! czym na to tu przyszedł, żeby ci przyczynić frasunku?»—spyta Karol ściskając ojca swego nogi i zapewniając, że się Bóg ulituje i wkrótce ich wybawi z więzienia. Pani hrabina de Flah.... przysięgła na Krucyfiks, że się wstawi za niemi u króla Ludwika Filipa, a gdyby to niepomogło, to pojedzie umyślnie do Londynu, aby tam zjednać biédnym więźniom łaskę królowéj angielskiéj.

* *
*

Bóg się ulitował: w trzy lata potém, na początku 1848 roku, gdy się stara Europa wstrząsnęła jakimś dreszczem na widok tego co się na swiecie dzieje.

Sam Cesarz Ferdynand udzielił przebaczenie, gdy mu pozostawiono wolność rozporządzania swą wolą, to jest gdy od niego odsunięto zdradliwego doradcę.

Otworzyły się drzwi wszystkich więzień, ze Szpielberga zstępuje Zaliwski zalany łzami i prowadzi syna swego opuchłego i krwią plującego.

Wiedział biédny Karol co go czeka, lecz nie żalił się nigdy, bo missyją swą spełnił: rodzeństwu swemu zachował ojca.

W pół roku potém pochowano Karola Zaliwskiego w grobach polskich na smętarzu Montmartre w Paryżu.

Koniec.

Niek[...]

wydane nakładem [...]

Józefa Za[...]

Studya Historyczne Mic[...] tykuły: 1. Jan Śniadeck[...] Śniadecki. — 3. Dopełnie[...] 4. Spytko z Melsztyna[...] — 5. Zgon Żołkiewskie[...] w Bessarabii. — 6. Paprocki i Panosza — Dopiski do Studyów historycznych: I. Dopisek o Szkicu P. Karola Szajnochy pod tytułem: Barbara Radziwiłłówna. II. Dopisek o sprostowaniu rodowodu Melsztyńskich. Z pięciu rycinami litografowanemi: a mianowicie: portretami Jana Śniadeckiego i Tadeusza Czackiego, w ozdobnych medalionach w litografii Fajansa; widokiem ruin pałacu Królowéj Barbary w Wilnie, i 2ma widokami pomnika Hetmana Stanisława Żółkiewskiego w Bessarabii. 8. 1856.

Gawędy i Rymy Ulotne Władysława Syrokomli. Oddział 3-ci. in 16.

Dwa Swiaty. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. 4 tomy we 2-ch. 12. 1856.

Garbaty. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. 3 tomy in 12.

Podania Litewskie. Serya Druga. *Żegota* z Milanowa Milanowski Przez *Ignacego Chodźkę*. in 12.

Wspomnienia z Podróży do Syberyi, pobytu w Berezowie i w Saratowie, spisane przez Ewę Felińskę. 3 tomy.

Nowe Wędrówki Oryginała. Z rękopismu nieznajomego Autora, przez *Józefa Korzeniowskiego.* 2 tomy in 12.

Wędrówki Oryginała, z rękopismu Nieznajomego Autora. Przez *Józefa Korzeniowskiego.* Powieść nowa nader interesująca z życia Warszawskiego, w jednym tomie. Wydanie drugie poprawne.

Rachunki Podskarbstwa Litewskiego 1648—1652. Wydane z współczesnego rękopismu, znajdującego się w Bibliotece Eusta[...]ego Hr. Tyszkiewicza. in 12mo.

Zagon Rodzinny. Zbiór Obrazków, Gawęd i Fraszek rymowanych i nierymowanych, przez Adama Pługa. 3 tomy in 12.

Wieczornice. Powiastki, Charaktery, Życiorysy i Podróże, zebrane przez Lucyana Siemieńskiego. 3 tomy in 12.

Opowiadania i Powieści: Czarna wstążka i Kachucha, Włodzimierza Wolskiego.

Anna. Powieść *Michała Czajkowskiego.* Wydanie nowe poprawne, 2 tomy w jednym. in 12mo.

Kabała z Odpowiedzi Wirujących Stołów i Tabliczek, dosłównie spisana przez pewnego dymissijonowanego Pomocnika-Stołu. in 16.